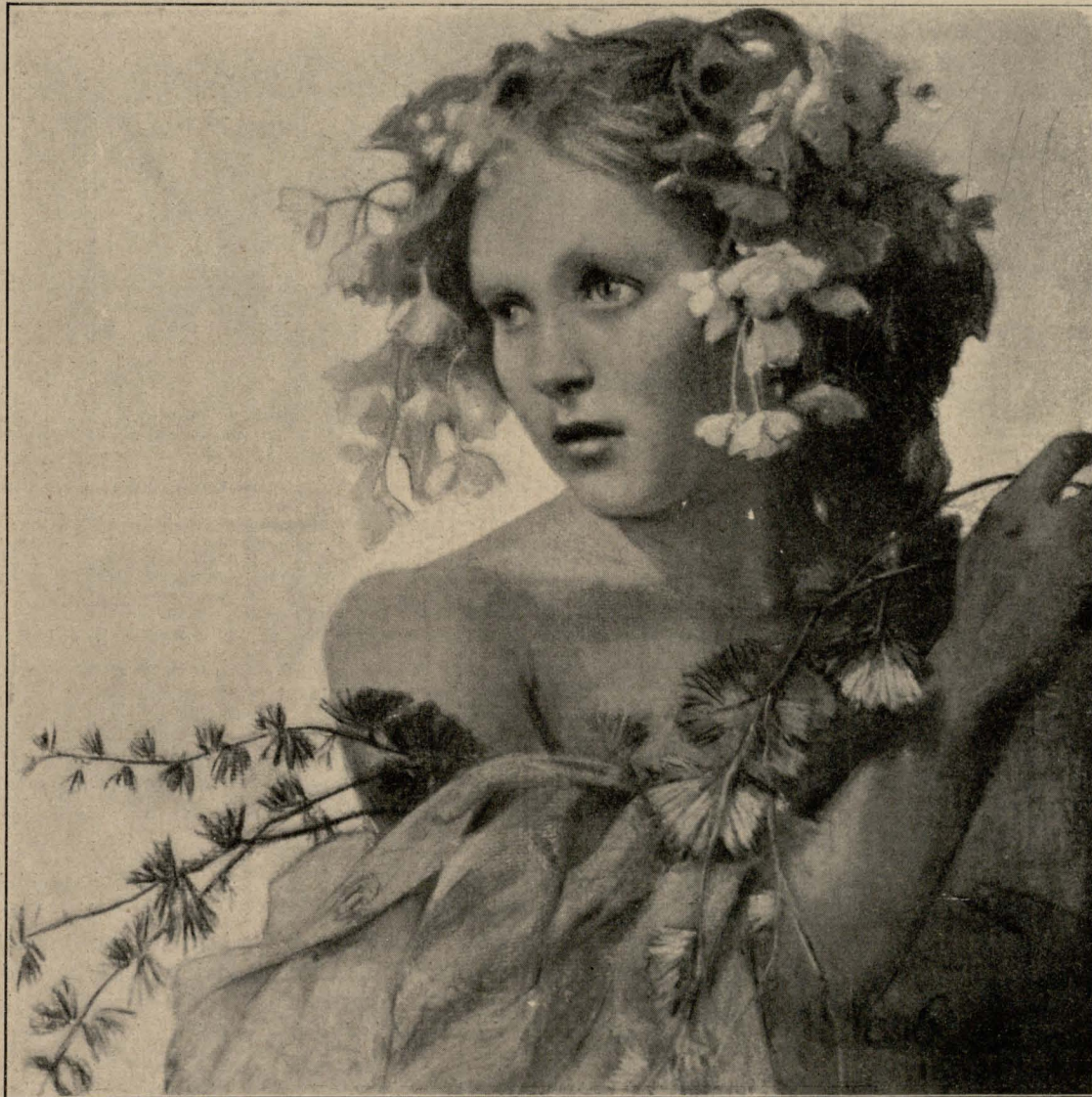


# TYGODNIK ILLUSTROWANY



KACZENIEC

Z Salonu T. Z. S. P.

APOLONIUSZ

KĘDZIERSKI

BRONISŁAW CHLEBOWSKI:

## DOM I SZKOŁA

WSPÓŁDZIAŁ DOMU I SZKOŁY W SPRAWIE WYCHOWANIA.

O ile żywo nas zajmuje, i stąd często w prasie naszej bywa przedmiotem rozpraw i utyskiwań, paląca i boląca nas tak dotkliwie kwestya szkolna, kwestya kształcenia umysłowego w związku z wyborem przyszłego zawodu i uzyskaniem patentu dojrzałości, o tyle znowu za mało interesujemy się, i stąd niejasne bardzo pojęcie mamy o ważniejszej znacznie, wiążącej się z tą kwestyą sprawie wychowania. Troszczymy się o szkołę jedynie ze względu na korzyści praktyczne, jakie daje dziecku świadectwo szkolne, ów patent, otwierający wstęp do różnych zawodów chlebobajnych, zmniejszający ciężary służby wojskowej i wprowadzający młodzieńca czy pannę w sferę tak zwanej inteligencji. W pojęciach rodziców, podzielanych przez przejmującą je w domu młodzież, szkoła jest zakładem do wydawania patentów, poświadczających posiadanie wiadomości, niezbędnych dla spełniania czynności biurowych, kantorowych i t. p. A że przytem w naszym nie rozumiejącem i nie lubiącem pracy społeczeństwie przeważa dążność do uchy-

lania się od tego najważniejszego obowiązku ludzkiego i zbywania podejmowanych zadań przez powierzchowne, pobieżne ich odrabianie, przeto wytwarza się zawsze prawie antagonizm między wymaganiami szkoły a dążeniami domu, z którego uczniowie przynoszą zaszczerpiany im wcześniej wstręt do pracy sumiennej, skłonność do uchylania się od spełniania należytego dawanych im zadań i nieufność ku nauczycielom i zwierzchnikom, jako kontrolerom i rozdzielaczom pracy, której pożytku duchowego, piękna i moralnej doniosłości nie są zdolni najczęściej zrozumieć, bo stają im na przeszkodzie z domu wyniesione, przez długie lata wpływu szkół rosyjskich wyrobione, wprost przeciwne przekonania i skłonności.

Jeżeli zadanie nauczania domowego i szkolnego bywa pojmovane przeważnie poziomo, utylitarnie jedynie, to o celach wyższych wychowania, o obowiązku rozwijania, kształcenia charakteru większość rodziców nie myśli wcale i nie jest zdolną, nawet przy pewnych chęciach, wywiązać się z tego najważniejszego za-

dania życia rodzinnego. Nie tyle ciężkie warunki ekonomiczne, przygniatające życie duchowe troską o kawałek chleba, ile rozstrój życia rodzinnego, brak spójni moralnej w większości rodzin, pozbawia ogromną większość młodzieży dobrodziejstwa wychowania domowego, którego szkoła nigdy nie zdoła zastąpić. Bez współdziałania domu szkoła nie może wypełniać należycie swych zadań wychowawczych i kształcących.

Tak mało znaleźlibyśmy rodziców, rozumiejących tę prostą a tak ważną prawdę, że w szkole początkowej i średniej nauka nie jest celem, ale środkiem wychowawczym, że szkoła średnia dążyć winna do wychowywania i kształcenia ludzi, nie zaś tylko przyszłych urzędników, buchalterów, techników, rolników, że wartość, użyteczność fachowa i społeczna jednostki zależy nie tyle od nabytej wiedzy specjalnej i fachowego uzdolnienia, ile od charakteru, od harmonijnie rozwiniętej duszy, a więc od wychowania, otrzymanego przez współdziałanie rodziny i szkoły.

Coraz trudniejsze warunki ekonomiczne bytu, wytworzenie się wielkich skupień ludności w miastach, osłabienie, a poczęści zniweczenie tych hamulców, jakimi religia, tradycja obyczajowa powściągały i ograniczały egoizm i samowolę jednostki — rozprzęgły życie rodzinne i rozluźniły węzły moralne w tem pierwszym, najważniejszym kole ludzkim, przygotowującym w młodości człowieka do należytego spełniania zadań, oczekujących go w wieku dojrzałym wśród kół, w jakich będzie odbywał pracę zawodową i spełniał rozliczne zadania życia społecznego. Szkoła życia rodzinnego może jedynie dostarczyć społeczeństwu jednostek, zaopatrzonych w przymioty i uzdolnienia, niezbędne do spełniania obowiązków i zadań życia zbiorowego.

To też najlepsza szkoła nie zastąpi rodziny pod względem wychowawczym. Ideałem szkoły jest obecnie zbliżenie jej urzędzenia i oddziaływania do wpływu życia rodzinnego, przez rozdział wychowawców na małe grupy pod kierunkiem wychowawców, oddanych z rodzicielską miłością i gorliwością swym trudnym obowiązkom. Przy takim systemie, pociągającym wielkie koszty, szkoła staje się dostępną jedynie dla dzieci zamożnych rodzin.

W skutek tego, szkoła dzisiejsza, w wyjątkowych jedynie warunkach, może podejmować zadania wychowawcze w całej pełni. Przeważnie musi ona ograniczać się na oddziaływaniu wychowawczem udzielanym w niej nauczania, na posługiwaniu się wykładanymi przedmiotami, jako środkami rozwijania nie tylko władz umysłu, któremu dostarczać mają potrzebnej w życiu wiedzy, ale też uczuć i charakterów. Wdrażając wychowawca do poddawania się wymaganiom i przepisom, płynącym z zadań i potrzeb samej instytucji, osławiając go z warunkami i obowiązkami życia koleżeńskiego, szkoła przygotowuje go do życia społecznego, do dźwignia ciężarów i pełnienia obowiązków zawodowych, obywatelskich. Węzły, łączące wychowawca z rodziną, z domem są, zwłaszcza w latach młodszych, wielokrotnie silniejsze od wpływu szkoły i życia koleżeńskiego, i stąd wpływ wychowawczy domu o wiele donioślejszy i skuteczniejszy.

O ile więc pomiędzy domem a szkołą istnieje harmonia, w pojmowaniu zadań wychowawczych i stosowaniu środków, prowadzących do ich osiągnięcia, o tyle cel ten

może być osiągnięty, o ile zaś niema łączności tych dwóch sfer oddziaływania na młodą duszę, o ile, co gorzej, zachodzi sprzeczność, niezgodność w pojęciach i drogach postępowania, odbija się to bardzo szkodliwie na duszach dzieci, tracących zaufanie i szacunek dla szkoły przede wszystkim, a w pewnych razach dla domu i dla rodziny.

Jedną z najczęstszych sprzeczności wytwarza np. tak powszechna nawet w rodzinach, pod innymi względami nie podlegających zarzutom, niedbałość i lekceważenie wyższych potrzeb życia duchowego, których wyrazem powinien być skromny, lecz starannie utrzymywany i uzupełniany księgozbiór domowy, tudzież przykład zachęcający w upodobaniu do odczytywania wyższej wartości utworów literatury ojczystej i obcych piśmiennictw. Zwyczaj jakiegoś pisma codzienne, ilustracje, tygodniki humorystyczne i brane z wypożyczalni powieści stanowią pokarm duchowy starszych, chwytany skwapliwie za ich przykładem i przez młodszych.

Otóż dla zaradzenia złemu i dopomożeniu usiłowaniami rodziców, za staraniem i pod kierunkiem nauczycieli i nauczycielek szkół polskich, opracowane zostały i wydane zarówno katalogi dzieł odpowiednich dla potrzeb młodzieży, z których należałoby korzystać przy tworzeniu bibliotek domowych, jak i podjęto wydawnictwa, zmierzające do uprzystępnienia zarówno starszym, jak i młodszym czytelnikom skarbów literatury ojczystej.

Wydawnictwami temi są: „Sto lat myśli polskiej”, rozłożony na 12 tomów obraz twórczości polskiej umysłowej i literackiej w ciągu XIX w., obejmujący charakterystyki pisarzy, połączone z danymi biograficznymi i bibliograficznymi i uzupełnione wyborem najważniejszych i najpiękniejszych ustępów z ich dzieł. Obok tego „Wybór pisarzy polskich dla domu i szkoły”, podający w tanich wydaniach z objaśnieniami i wstępami krytycznymi najważniejsze dzieła wielkich pisarzy, od XVI w. począwszy; wreszcie „Biblioteczka uniwersytetów ludowych i młodzieży szkolnej”, uwzględniająca potrzeby umysłowe młodszych czytelników. Rozwój pomyślny tych wydawnictw, mających na celu potrzeby domowych księgozbiorów, zależeć będzie od poparcia, jakie znajdą w rozumiejących swe obowiązki rodzinach.

Ścisła zależność szkoły w osiągnięciu jej

celów i spełnieniu zadań od współdziałania domu sprawia, iż obecny rozstrój życia rodzinnego, polegający na braku, lub słabości spójni moralnej pomiędzy członkami rodziny powstrzymuje i utrudnia działalność szkoły, nie mogącej zastąpić rodziny, niezdolnej swym wpływem przeciwważyć ujemnego oddziaływania złych stosunków rodzinnych, lub błędnego pojmowania i pełnienia przez rodziców zadań wychowawczych. Powołując rodziców do rad opiekuńczych, do współdziałania w naradach nad sprawami wychowawczymi, dzisiejsza szkoła stara się uświadamiać rodziców o ich obowiązkach i celach wychowania i zaznajamiać ze środkami, prowadzącymi do ich najlepszego wypełnienia i osiągnięcia tych celów.

W związku z tem dążeniem grono nauczycieli, pojmujących całą doniosłość współdziałania harmonijnego domu i szkoły w sprawie wychowania, rozpoczęło w roku bieżącym wydawnictwo miesięcznika p. t.: „Wychowanie w domu i szkole”, mającego być organem zespolonych usiłowań rodziców i nauczycieli dla postępu i doskonalenia trudnej, a tak doniosłej sprawy wychowania młodego pokolenia. Pismo to pragnie, „jako przyjaciel i doradca, wejść do ogniska rodzinnego”, ale również usilną uwagę zwraca na szkołę i nauczyciela, ażeby ich „zaznajamiać z ostatnimi zdobyczami nauki, postępami metodyki i nauczania”. Obok rozpraw, dotyczących się wychowania domowego i szkolnego, podaje sprawozdania i oceny prac z zakresu literatury dla dzieci i młodzieży i podręczników szkolnych.

W skład redakcji wchodzi znani z działalności w zakresie nauczania i wychowania pracownicy: K. Appel, Wł. Borowski, J. Eismond, R. Kornitowicz, K. Król, dr. A. Krysiński, W. Osterloff, M. Sadzewiczowa, P. Sosnowski, T. Świętochowski i L. Zarzecki.

Rozwój pomyślny wydawnictwa i wpływ jego na tak doniosłą sprawę wychowania młodzieży zależeć będzie przeważnie od poparcia i zainteresowania się tem czasopismem kół rodzinnych, które znajdą tu rady i wskazówki, wspierające i oświecające je w pełnieniu najdonioślejszego z zadań społecznych, a zarazem sposobność wypowiedzenia swych potrzeb, pragnień, wątpliwości i spostrzeżeń, dotyczących się tego zadania, tak trudnego i ważnego, a tak niejasno przedstawiającego się umysłom wielu rodziców, wychowawców i nauczycieli.

KAZ. PRZERWA-TETMAJER:

## BOGACTWA PŁYNIE TOK NIEZMIERNY...

...I wiecznie pustka i znów wkoło  
milczenia nocny szept o niczem...  
Na niebie gwiazdy—przed me czoło  
duch z każdej gwiazdy z światłem schodzi,  
każdy w odzieniu jest pątniczem,  
przez wielką toń powietrzną brodzi.  
Ze zgiętą głową w rękach obu  
jakowyś ciężar każdy niesie—  
jest to z innego stany globu  
dar—z gwiazd tysięcy ponad światem,  
i wszystko tu, w tym ciemnym lesie,  
w mieniu gromadzi się bogatem.  
Tak, jest majątek ten niezmierny,  
dla mego dziecka to kolenda:  
ból—człowiekowi zawsze wierny

i szczęścia wieczna dlań legenda.  
Bo on, ten mały, już gdzieś oczy  
w nieprzegarnionej gubi zmroczy  
i już „daleko” czegoś szuka...  
Otóż nad nami gwiazd tysiące,  
każda do okna z darem puka,  
bogactwa płynie tok niezmierny:  
ból—człowiekowi zawsze wierny  
i pustki mroki szeleszczące...  
Znam, znam ten szelest!...

Dookoła

okrąg postaci—białe mary,  
kaptur spuszczone kryje czoła—  
to są wysłańcy z gwiazd z darami...  
Ah! Wiedzą, jakie niosą dary,

co rozścielają poprzód namił...  
I to jest wszystko... Niech się zrywa  
kto chce i jak z jarmarcznej budy  
gladyator: siły głosi cudy;  
niech rzeczywista mgła opływa  
wyniosłe głowy wielkiej myśli:  
święty Sebastyan, czy Scaevola  
w tej chwili byli niezawisli  
od bólu, gdy ich cała wola  
była stężona do boleści.  
Dość... Po co słowa te bez treści,  
posępny pacierz nocnej ciszy,  
który las tylko ciemny słyszy,  
choć się w nim ludzkie serce mieści.



WYPRAWA BELUDŻYSOW  
Z Salonu londyńskiego.

R. D. MACKENZIE

SZYMON ASKENAZY:

## Z niedawnej przeszłości.

Po tych uwagach wstępnych wyrażony był pogląd na zawodne widoki poprawy w rządzeniu Królestwem w ciągu ostatniego dziesięciolecia, pod kilkoma zmieniającymi się rychło, a bez żadnych śladów rzetelnego postępu, naczelnikami kraju: hr. Szuwałowem, ks. Imeretyńskim, generałami Czertkowem i Maksymowiczem. Z kolei uwydatnionem zostało zupełne zlekceważenie, albo raczej pominięcie sprawy polskiej w tych nawet najogólniejszych nowatorskich zamierzeniach rządowych, jakie weszły na porządek dzienny pod przymusem wynikłego po ostatniej wojnie przesilenia. W tem miejscu dotknięte zostały świeże przeszkody, stawiane od pierwszego już kroku prawidłowej realizacji praw przedstawicielskich Królestwa.

„Manifest o Dumie Państwowej, przewidując pozytywnie udział 50 gubernii wewnętrznych i zachodnich, oraz obwodu Wojska Dońskiego przed połową stycznia 1906 roku i określając dla nich stałą cyfrową normę elektorską,—udział Królestwa natomiast, pod względem terminu i normy liczebnej pozostawił w zawieszeniu. Co więcej, zapowiedziane zostały w tej mierze „osobne przepisy” dla Królestwa, stawianego tu w położeniu wyjątkowem, a mianowicie stawianego imiennie na jednej linii z obwodem Ural-skim, Turgajskim, Syberyą, Kaukazem, Krajem Stepowym i Turkiestańskim, oraz „koczującymi inorodcami”. Samo takie zestawienie ludności Królestwa, w doniosłym akcie ustawodawczym, nárówni z Czukczami i Samojedami mogłoby nie wydawać się zbyt szczęśliwem natchnieniem polityki nowator-

skiej... Udział w Dumie dla Królestwa nie jest celem, lecz dopiero jednym z najpierwszych środków do poprawy swoich ciężkich warunków bytu. Leży on conajmniej tyleż w interesie państwa, co Królestwa. Tem bardziej winien być oparty na zasadzie absolutnej sprawiedliwości, a więc równocześnie i równomierności bezwzględnej...

„50 wspomnianych gubernii Cesarstwa z obwodem Dońskim liczą około 100 milionów mieszkańców i otrzymują 412 posłów, wedle stopy przeciętnej 1 na 250 tysięcy ludności. Królestwo z ludnością przeszło 11 milionów, winnoby tedy otrzymać conajmniej około 40 posłów. Tak wypadaloby z samego stosunku gęstości zaludnienia, wyższej w Królestwie w przecięciu 4—5 razy, niż w rzeczonych guberniach Cesarstwa... Gubernia ołoniecka, z ludnością przeszło 25 razy mniejszą od Królestwa, otrzymuje 3 posłów; permska, z gęstością zaludnienia przeszło 10 razy mniejszą, niż w Królestwie, otrzymuje 13 posłów; miasta Astrachań i Samara, z ludnością 6—7 razy mniejszą od Warszawy, otrzymują po 1 posła. Stosunki te występują sposobem bardziej jeszcze rażącym, jeśli uwzględnić liczbę wyborców z tytułu podatku mieszkaniowego...

„Należałoby tu zresztą, być może, brać również w rachubę niektóre inne, dalsze zapewne, lecz nieobojętne względy moralno-polityczne. Królestwo posiada podobno to, czego brak wyprzedzającym je urzędownie 50 guberniom wraz z obwodem Dońskim: posiada, obok dawniejszych przedstuletnich tradycji parlamentarnych, bliższą tradycję 15-letnich liberalnych urzędzeń reprezentacyjnych już pod berłem rosyjskiem Aleksandra I i Mikołaja I. Posiada zarazem, tuż o miedzę, społeczny żywy przykład reprezentacji ziem polskich w przedstawicielstwie centralnem Austrii, Niemiec, Prus. Około 4 milionów Polaków

galicyjskich posyła do *Reichsrathu* wiedeńskiego 70 posłów. Około 3 milionów Polaków poznańskich posyła do parlamentu niemieckiego 15 i do Sejmu pruskiego 13 posłów polskich. Jakkolwiek zaś odmienne byłoby tam stosunki, niepodobna przecież całkiem ignorować skali porównawczej, jaką stąd wysnuwać sobie musi opinia publiczna Królestwa...”

W dalszym ciągu systematyczne usunięcie Królestwa poza nawias wszelkiej specyficznej dlań akcji reformatorskiej w społecznym programie politycznym rządu poddawane było bliższemu oświeceniu. Wskazane zostało, że nawet akt tak dobroczynny, jak ogólny edykt tolerancyjny, wydany był przedewszystkiem ze względu na wielomilionową masę starowierców rosyjskich i poniekąd tylko przygodnie (*„incidemment, pour ainsi dire”*), wyszedł także na dobro unitów Królestwa. Z powodu świeżych ulg specyficznych dla innych części państwa, czy to w prawie poborowem finlandzkim, czy w majątku kościelnym ormiańskim, czy w niemieckiej szkole nadbałtyckiej, zaznaczonem zostało, że Królestwo wita z sympatją każdą taką folgę dla innych i dalszego słusznego uwzględnienia ich potrzeb szczerze im życzy, że atoli nie może ono nie odczuwać z głęboką goryczą, iż, samo w największej będąc potrzebie, najmniejszego nie doznaje uwzględnienia, i to w sprawach najbardziej nawet palących.

Jako najnaglejsza sprawa tego rodzaju, została tutaj wskazana sprawa szkolna w Królestwie. „Sprawa ta, poza obrębem (*„sans préjudice”*) ogólniejszych potrzeb Królestwa, jako całości politycznej i administracyjnej, jest dziś dla niego zagadnieniem najżywo- niejszem, a rozwiązanie jej w szerokim duchu reformatorskim będzie probierzem mądrości całej dalszej dyrektywy państwowej



PORTRET  
Z Salonu paryskiego

HELENA BLANKSTEIN

w sprawie polskiej. Polegać ono może jedynie na przywróceniu społeczeństwu polskiemu w Królestwie szkoły, jaką miało u siebie od wieków, jaką zachowało jeszcze pod berłem rosyjskim, aż do poprzedniego pokolenia, szkoły, każdemu wielkiemu kulturalnemu narodowi niezbędnej i przykazanej przez niepisane prawo przyrodzone i publiczne, pełnej szkoły polskiej, od początkowej, przez średnią, aż do wyższej, z należytym w niej uwzględnieniem wykładu języka, piśmiennictwa, prawa i historii rosyjskiej...”

Następowało szczegółowsze rozważenie kwestyi szkolnej, poczem pokrótce jeszcze poruszone były niektóre najogólniejsze materje pokrewnej natury. Wreszcie dotknięte zostały powody i wpływy faktyczne, tamujące dotychczas wszelką skuteczną poprawę stanu rzeczy w Królestwie, a co za tem idzie, wszelką istotną poprawę stosunków polsko-rosyjskich. Śród tych wpływów miejsce wydatne przyznane było pruskiemu.

„Jest rzeczą zrozumiałą, że w trudnym położeniu, wywołanem przez nieszczęśliwą wojnę, Rosya może narazie odczuwać potrzebę przymusowego liczenia się z Prusami. Ale po minięciu obecnego kryzysu, inne wielkie zagadnienia, czasowo zawieszona, wnet tem dobitniej do praw swoich powrócą. Wyniki ostatniej wojny tak czy owak przyłożą się w końcu do przesunięcia punktu ciężkości polityki rosyjskiej, ze skrajnego Wschodu azyatyckiego, w kierunku bliższego Wschodu i Zachodu europejskiego. Tu zaś wszelka droga prowadzi z konieczności przez Królestwo Polskie. I byłoby już rzeczą zgoła niezrozumiałą, gdyby Rosya, ze względów

doraźnych na potężnego sąsiada pruskiego, dała się przezeń ostatecznie pociągnąć do fałszywej z gruntu orientacji w sprawie polskiej, a tem samem do zamknięcia sobie na długo, jeśli nie na zawsze, jedynej drogi ku prawidłowemu jej rozwiązaniu”. Na bliższym rozwinięciu uwagi powyższej — przy czem wskazano ochybne wyniki tępiciejskiej polityki polskiej Prus w Poznańskim, na Śląsku i Mazurach, zmuszonej właśnie dlatego szukać sobie ratunku w utrzymaniu za wszelką cenę *status quo* represyjnej polityki polskiej Rosyi w Królestwie, — wyczerpywała się zawartość zapiski.

Wkrótce potem odebrałem z Petersburga list od generała Richtera, gdzie, powołując się na dokonane tymczasem pomyślne rozstrzygnięcie kwestyi mandatów poselskich z Królestwa, wyrażał wdzięczność za dostarczoną mu zapiskę, której wywody, przez siebie podzielane, podał do wiadomości w miejscu właściwym.

Pozwoliłem podać sobie drobny fakt powyższy, jako ilustracyę onych raptownych przerzutów wstecznych, występujących ostatnimi czasy w Rosyi szczególnie w rzeczach polskich. Dostojnik wojskowy rosyjski, który zasłyszane niemal przypadkiem, ze strony prywatnej, szczere uwagi w sprawie polskiej, chwytając skwapliwie i z własnej pobudki stara się spożytkować, powodowany wyłącznie sumieniem i dbałością o rzetelny interes państwowy, — jakże to mocno odbija od chwili obecnej, kiedy odpowiedzialne czynniki rządowe i, co więcej, parlamentarne rosyjskie okazują się z zasady głuchymi na głos społeczeństwa polskiego. Dwa wręcz przeciwne pojęcia na tak blizkiej tutaj stykają się mecje w samejże Rosyi, w samychże kołach górujących tamecznych: które z nich obu lepiej odpowiada już nie tylko oczywistej słuszności, lecz prostemu rozumowi stanu, — nie może być wątpliwem.

JAN LEMAŃSKI.

## RZECZYWIŚTOŚĆ.

### I.

Był człowiek, który po przyjsciu na świat złym losem taką spotkał prawdę życiową:

„Licz się z rzeczywistością, żyj tem, co jest, a nie myśl o tem, co być może i co będzie”.

I zaczął ten człowiek liczyć się z rzeczywistością. Podporządkował się temu wszystkiemu, co stworzyli inni, nauczył się tego na pamięć, i już zdawało mu się, że będzie sobie mógł żyć lekko i swobodnie, bez trudu.

Ale, niestety, zamiast żyć, musiał podporządkowywać się i uczyć nieustannie, ponieważ codzień ktoś stwarzał coś nowego. A ten ktoś to był człowiek inny, któremu dobry los dał taki aksjomat:

„Życie jest nie tem, co stworzone, jeno tem, co się tworzy. Ten tylko żyje naprawdę, kto życie stwarza”.

### II.

Był naród, który po przyjsciu na świat powiedział sobie: Nie myślimy o niebieskich migdałach i używajmy życia; nie chcemy rzeczy nie istniejących, używajmy życia; nie pragniemy szybkich z okna i gwiazdek z nieba, pozbadźmy się mżonek i używajmy życia!

Tymczasem inne narody mówiły sobie tak: wszystko, czego się pragnie, można osiągnąć, zależy to tylko od mocy naszych pragnień.

I zapragnawszy, osiągnęli i szybki z okna, i gwiazdki z nieba, i żywe obrazy, i maszyny latające. Z tego wszystkiego zrobili sobie rzeczywistość i narzucili ją narodom gnuśnym i tylko życia używającym. Naród podobny, przyjmując życie, sobie narzucone, staje się życia tego niewolnikiem — używa.

### III.

Była sobie ludzkość, której przodujące jednostki mówiły sobie tak: Niema bogów, oprócz tych, których nie znamy. Bogowie są tylko ci, których niema. Tych bogów, których znamy, zniszczyliśmy swoim poznaniem, staliśmy się nimi. Bogiem jest nieznanne — *deus ignotus*. Bogiem jest góra niedostępna, morze nieprzeplynnione, przestrzeń nieprzeprunięta, myśl niedościgną, sen niewyśniony, marzenie nieziszczona, możliwość nieureczywistniona, niebyt. To jest Bóg. Bogiem jest to, czego niema.

Hej, wstępujmy na szczyty, przepłynijmy morza, przebadzmy bezkres, urzeczywistnijmy niebywałość, wymyślimy nieprawdopodobną rzecz, wynisnijmy cudowność, zdobądźmy swego Bogala!

Tak mówiąc, zaczęli ci ludzie szaleni biedzi, fruwać, przebywać, przyzwyciężać swój bezwład, przełamywać ciężenie, zwalczać niewiarę, osiągać ufność, dościgać pewność, chcieć, śmieć, zdobywać ocean życia.

I to dążenie w bezkres, w bezmiar, w przestrzeń — to była ludzkości dusza. I to dążenie było dla niej wszystkim.

A ciało ludzkie, ludzkości *arriere garde*, ludzkości *arriere pensée* — używała życia i nazywała to użycie rzeczywistością.

### IV.

Rzeczywistość, rzeczy — wistość, jak widać z samego wyrazu, jest rzeczy — widzeniem. Rzeczywistością jest to, co się widzi. A ponieważ jednakowego wzroku nie ma każdy, a więc rzeczywistość jest rzeczą bardzo względną. Czyj wzrok nie sięga dalej, dla tego rzeczywistością jest to, co widzieć się daje blisko. Kto patrzeć umie w przeszłość i w przyszłość, dla tego rzeczywistością jest czas przeszły i przyszły. Człowiek o krótkim promieniu wzrokowym nazywa rzeczywistością to tylko, co stworzyli inni. Kto zaś patrzy dalej, kto tworzy, kto myśli, dla tego rzeczywistością jest to, co stwarza on sam, co on sam zamyśla, co on sam zamierza. Przeciwnie, człowiek krótkowzroczny dostosowuje się do tego, co jest, do tego, co zrobili przed nim inni, sam ponad to nic nie dając. Człowiek, daleko widzący, człowiek o myśli przenikliwej tę rzeczywistość przetwarza i ustanawia rzeczywistość nową.



STUDIUM (autoakwaforta)  
Z Salonu paryskiego.

L. PILICHOWSKI

SZYMON TOKRZEWSKI:

## ZE WSPOMNIENIA KATORŻNIKA

SUANGO.

Praca „przy alabastrze” należała do lepszych i łatwiejszych z tych robót, do których w fortecy omskiej\*) używano nas, katorżników, tak zwanych „czernoraboczych”, to jest nie umiejących żadnego rzemiosła.

„Alabaster” zostawał pod zawiadywaniem biura inżynierów. Ci, jako ludzie mniej więcej wykształceni i kulturalni, względniejsi byli dla przestępców politycznych, a zwłaszcza dla szlachty. To też nas, Polaków, i powieściopisarza Teodora Dostojewskiego używano stale do pracy przy „alabastrze”.

Na samym brzegu Irtysza, w szopie, na ten cel zbudowanej, wypalaliśmy i tłukli alabaster pod dozorem wykwalifikowanego w tym fachu robotnika, Andrzeja Ałmazowa.

Przy rozniecaniu ognia w piecu, nakładaniu do pieca, a następnie przy wygarnianiu już przepalonego alabastru było dosyć krętąniny, i każdy z nas wydzieloną sobie robotę wykonywał w milczeniu. Lecz, skoro tylko przepalony alabaster porozsypywaliśmy w skrzynki, każdy chwytal swoją skrzynkę i młot, i przy rozbijaniu brył alabastrowych rozpoczynała się gawęda.

Gawęda pomiędzy nami a Teodorem Dostojewskim miała zawsze podkład polityczny. Zaczęta na chłodno, od wymiany zdań w kwestiach dla nas i dla niego mniej więcej obojętnych, przechodziła bardzo prędko w ostrą polemikę niebawem, a wreszcie w spór namiętny.

Słowa bystre, niby pociski, padały, przy akompaniamencie energicznych uderzeń młotów, z pod których unosił się pył i bujał w powietrzu, wypełniając całą szopę, niby miliardami białych, błyszczących żyłatek skrzydlatych.

Przy tych zapalczywych kontrowersjach, przy wzburzeniu krwi i podnieceniu nerwów waliliśmy młotami z takim rozmachem, że aż instruktor nasz i dozorca razem, Andrzej Ałmazow, niezły człeczyna, wołał:

— Lżej! „rebiata”! lżej!—i często proponował nam wyciszenie przed oznaczoną godziną.

Wówczas rzucaliśmy młoty, przerywali spory i, zimą czy latem, wychodziliśmy przed szopę.

Bo o każdej porze roku było tam i powietrze czyste, i prawie pustynna cisza, która po wieczornym harmidrze i hałasie, panującym w naszym ostrogu, oddziaływała na nas kojąco.

Na drugim brzegu Irtysza, na przestrzeni tysiąca pięciuset wiorst, ciągnął się step, urozmaicony tylko nielicznymi jurtami koczujących Kirgizów.

Z jakąż to rozkoszą nasze oczy, znużone szkaradą i ciasnotą naszego więzienia, bujały swobodnie po tym przestworze, zimą olśniewająco białym i smętnym, latem promieniami słońca wyłożonym.

Do wolności, do swobody, do ruchu, do życia wyrwały się nasze serca, gdy oczy ściagały szybujące wysoko „karagasze”\*\*).

\*) Autor tych kart siedm lat przepędził w katordze omskiej.

\*\*) Stepowe orły, nieduże.

— Na obiad chodźcie! czas! — z cudnej krainy marzeń na smutną ziemię wygnania i kaźni strącał nas głos Ałmazowa, który, lubo prostak, jednakże nasze uczucia odgadywał widocznie, bo, patrząc na nas, kiwał głową i napoty szydlerczo, napoty litośnie szeptał:

— Na woli wy żyć nie umieli, a teraz wam skuczno! oj! wy! pany... bezumnyje!...

Czasem na jakim zakręcie drogi spotykaliśmy inną partyę wracających z roboty katorżników, którzy witali nas szydlerczym okrzykiem:

— Jakże wam się powodziło, „alabastrowi?”

I tak, pobrzękując kajdanami, ze stu kilkudziesięciu ludzi złożona wataha, pod konwojem żołnierzy z nabitą bronią, wkraczała do Omska.

Najczęściej wszakże my, „alabastrowi”, wkraczaliśmy sami z Ałmazowem i tylko jednym konwojującym żołnierzem.

Raz w słotny i zimny dzień jesienny do naszej szopy wślizgnął się pies. Nieśmiało zatrzymał się przy wrotach i, skomląc, oznajmiał o swej obecności, którą przecież, zacie trzewieni jakimś sporem politycznym, zauważyliśmy dopiero wówczas, kiedy Ałmazow z za pieca, kędy się wygrzewał, wywabiony straszliwym łoskotem młotów, przemówił swoim stereotypowem:

— Lżej! „rebiata”! lżej! odpocznijcie!

Teodor Dostojewskij, wielki miłośnik zwierząt, właśnie srodze strapiiony tragicznym losem swojego wychowanka i faworyta, Kultiapki, pierwszy spostrzegł gościa psiego rodu i przemówił przyjaźnie.

Pies zbliżył się do nas.

Był przerażająco chudy, kości sterczały mu poprzez sierść zmokniętą, skołtunioną, szorstką i nieokreślonej barwy. Widocznie bardzo był zdrożony, bo z trudnością powtóczył nogami, raczej czołgał się, niż szedł. Kiedy go Dostojewskij pogłaskał, przyczołgał się do jego kolan i zaczął pisać z radości.

Zwykle zabieraliśmy z sobą zapas chleba, bo przy krótkich dniach nie wracaliśmy na obiad do ostrogu. Było więc czem nakarmić gościa czworonożnego. Dostojewskij napoił go z jakiegoś czerepka, poczem zupełnie już ośmielony pies zakopał się w kupie słomy, rozrzuconej w kącie szopy, i tam zanocewał. I oto, za niem przyzwoleniem Andrzeja Ałmazowa, pozostawał w szopie, dopóki pracowaliśmy przy alabastrze.

Żywiliśmy się wówczas własnym kosztem (funt mięsa w Omsku za naszych czasów kosztował zimą grosz, a latem trzy grosze, a „ka-

szewary”\*) w ostrogu za 30 kop. miesięcznie przyrządzali nam wcale niezłe potrawy), i owe mu psu-przybłądzie nie zbywało też na mięsie. Karmiliśmy go suto, co się zowie, wnet też utył, dostał sierści miękkiej, jedwabistej, lśniącej, ogon miał, niby lisia kita, puszysty, wypiękniął na podziw i na podziw był mądry. Przepadaliliśmy za nim wszyscy, szczególnie ja, gdyż postawą, maścią i rozumem niezwykłym przypominał mi „Zagraja” z mego rodzicielskiego domu.

Nieraz pies na ziemi siądzie, ja przy nim przycupnę, obejmę go za szyję i, mocno wtuliwszy usta w jego kudły, w ten sposób tłumię łkania, aby nie wybuchnęły rozpaczliwie i głośno.

Jestem pewien, że pies-przybłąda wyróżniał mnie spośród towarzyszy, bo, gdy skrył się umyślnie, biegał zaniepokojony, szukając mnie pomiędzy wszystkimi. Na moje spotkanie zawsze wybiegał z radosnym poszczekiwaniami, wspinał się, przednie łapy o moje piersi opierał i gotów był lizać mnie po twarzy. Gdy zaś, nie pozwalając na to, usuwałem go łagodnie, siermięgę moją szorował językiem z widoczną przyjemnością i zapałem, mile patrząc mi w oczy i z zadowolenia merdając ogonem.

Nasz bezimienny przyjaciel - przybłąda otrzymał od nas imię „Suango”, bo, ofuknięty przez Ałmazowa, zawsze krył się w kącie, pod węglem szopy.

Węgieł, kął, „anguł”, pod węglem, takiej to, coprawda mocno naciągniętej etymologii Suango swe miano zawdzięczał.

Co zrobić z Suangiem, kiedy nas do innych prac zapędzą i szopę z alabastrem zamkną?...

Zapytanie to bywało przedmiotem naszych bardzo poważnych, ożywionych, ba, nawet burzliwych obrad. Świadek tych narad i słuchacz ich, albowiem ze względu na Teodora Dostojewskiego, były prowadzone po rosyjsku, Ałmazow, raz po raz zażywał tabakę z rogu, pykał z krótkiej fajeczki, a kiwając głową i uśmiechając się napoty szydlerczo, napoty litośnie i, patrząc na nas, półgłosem mówił:

— Oj, pany! pany!—a szeptem dodawał:—durne pany! durne! durne!

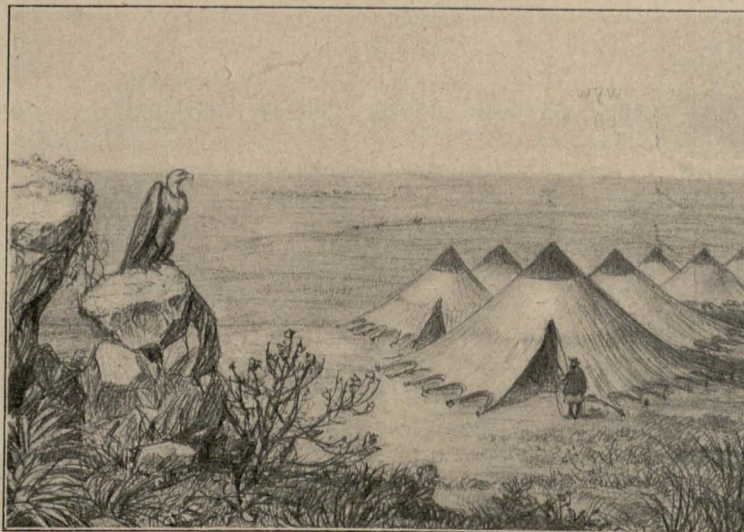
Wreszcie stanęło na tem, że nie można wprowadzać Suanga do twierdzy, gdzieby niezawodnie wnet zginał śmiercią gwałtowną.

Katorżnik Nieustrojew, z zawodu szewc, wciąż otrzymywał z miasta obstalunki. Aby jak najmniejszym nakładem funduszu zarobić dużo, wymyślił sposób zdobywania taniego materiału na wyroby dla swej niewybrednej klienteli: zwabiał psy, wieszając je, obdzierał ze skór, które garbował, a mięso wrzucał w ogromny dół, znajdujący się w kącie, pod ostrokołem naszego ostrogu. Ten dół rzadko bardzo był oczyszczany, a że zlewano tam wszelkie nieczystości, zwalano wszelkiego rodzaju odpadki, przeto latem z tego zbiornika wydzielal się odór wprost zabijający.

Często właściciele zaginionych psów, zwłaszcza rasowych, zwracali się do dyżurnego oficera ze skargą na „łapacza” Nieustrojewa.

Ten zaś przybierał minę niewiniątka, oskarżonego niesłusznie.

(DN)



Na drugim brzegu Irtysza ciągnął się step, urozmaicony jurtami Kirgizów, Rys. S. Tokarzewski.

\*) kucharze.



PROJEKT POMNIKA JULIUSZA SŁOWACKIEGO

WACŁAW SZYMANOWSKI

## Nowe dzieło Wacława Szymanowskiego.

Komitet obchodu setnej rocznicy Juliusza Słowackiego we Lwowie wydaje własnym nakładem reprodukcje biustu poety dłota Wacława Szymanowskiego, artysty, odznaczonego świeżo pierwszą nagrodą na warszawskim konkursie chopinowskim.

Jeżeli już myśl samą komitetu lwowskiego można nazwać szczęśliwą, to wykonanie jej wypadło niezwykle pięknie i artystycznie. Postać Słowackiego nie wryła się w wyobraźnię narodu w tak konkretnych i wyrazistych kształtach, jak postać np. Mickiewicza. Takiego ostatecznego ukształtowania i ustalenia rysów Adama, jakiego dokonał znany portret Horowitza, Słowacki oczekuje dopiero. Ponieważ zdjętych z oryginału podobizn jest bardzo mało, a te, które znamy, mocno się między sobą różnią, zadanie takie jest wcale niełatwe. Najwcześniejszy jest portret olejny, malowany przez T. Byczkowskiego w r. 1831 w Dreźnie, potem idzie rysunek J. Kurowskiego z r. 1838, najczęściej odtwarzany i najbardziej rozpowszechniony, a nakoniec medalion Wł. Oleszczyńskiego, wykonany w Paryżu w r. 1841. O medalionie tym wyraża się sam Słowacki w jednym z listów do matki, że wiernie oddaje rysy jego, a współczesna korespondencja poznańskiego *Orełdownika naukowego* (ogłoszona w numerze noworocznym *Kuryera Warszawskiego* przez T. Hoesicka) pełna jest zachwyty nad pracą Oleszczyńskiego. Profil Juliusza—powiedziano tam—na sam rzut oka uderzający podobieństwem „wykapa-

nem”, dłota wprawnością, wdziękiem wykonczenia.

Ten to więc medalion Oleszczyńskiego służył Szymanowskiemu za pierwowzór. Artysty jednak tej, co on, miary nie mogło iść o niewolnicze odtworzenie w pełnej płaskorzeźbie Oleszczyńskiego, o wierne naśladowanie rzeczywistości, i to podanej z drugiej ręki, a nie przejętej z oryginału. I sztuka, i skłonności Szymanowskiego kazały mu zadanie swoje pojąć nierównie wyżej. Pokusił się o *prawdę artystyczną*, wniósł w dzieło swoje prawdziwie twórcze wartości swojej sztuki. W kompozycji Szymanowskiego uderza nas odrazu cały charakter i cała indywidualność poety. Artysta zdołał uchwycić tę jakby wymarzoną przez siebie jakąś chwilę cudowną, w której wyzwolona dusza poety ożywiła jego oblicze i z całą potęgą swego wyrazu przemawia do nas. Mamy wrażenie, jakby to sam Juliusz, wedle własnych słów przepięknych, „rzucił garściami duszę swoją na nas i przemieniał nas w siebie”.

Z medalionu Oleszczyńskiego wziął Szymanowski tylko to, co stanowi zasadniczy i wieczny niejako pierwiastek w rysach poety, odrzucił natomiast wszystko uboczne, przypadkowe, nieistotne. Z poświęceniem zewnętrznego podobieństwa, chodziło mu o ogólne wrażenie w szczegółach i osiągnął je w nieporównany wprost sposób. Z tego harmonijnego, zamkniętego w sobie spokoju, z tej opartej o prawą dłoń, smutnej, zadumanej twarzy o wzniosłym czole, z tych tchnących oczu, z tej wydętej wargi dolnej wieje na nas cała wielka poezja twórcy „Anhellego.”

Osobliwa subtelność artysty wyraża się

w spokoju postaci, opartej na ręku w głębokiej smętnej zadumie. Wszystkie nasze pomnik Adama wyobrażają go nam stojącego w pozie, z gestem jakimś wieloznaczącym. Ten afekt chwili nadaje twarzy wieszczą szczególny wyraz, z samym jego charakterem w luźnym tylko związku stojący. Spokój natomiast—słusznie to odczuł artysta—pozwolił mu całą wagę położyć na idealny charakter poety i podnieść obraz jego do symbolu. Tak wywiązać się z swego zadania mógł tylko artysta, który gorącą miłością ukochał poetę, w którego duszy zamieszkał Słowacki. Kompozycja Szymanowskiego jest nie tylko dziełem sztuki, ale i dziełem serca.

*itr.*

WŁADYSŁAW ZALEWSKI:

### MÓJ SAD.

Z CYKLU: „JASNE LOTY”.

Otworzyłaś mi sadu Jarty bielejące,  
Gdy rozłożone śpiewne dzwonią kwiatów paki,  
Gdy na słonecznych strunach dzwonią wiatru gońce  
I przejrzystej mgły białej snują się koronki...

Otworzyłaś mi sadu bielejącą duszę,  
Zapalając tęczowe nad gruszami łuny,  
Białych kwietnych jabłonek złocąc pióropusze,  
By jedwabistych włosów wonné deszczu struny...

Otworzyłaś mi sad ów, jakgdyby gaj—iście  
Nieskalaną biel duszy, promienną wieczyście—  
Pieśń życia przestępczną, a bujnie kwitnącą...

Take-m sńił u furt sadu, tak pragnął gorąco  
Wonią, słodyczą duszy twojej, poić duszę—  
Sad okwitł—nagie stoją jabłonie i grusze...

## WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Przesilenie operowe.— „Cyd” Corneille’a, przepolszczony przez Wyspiańskiego.— „Kobieta naga” Henryka Bataille’a.— „Osiołek” de Flersa i Caillaveta.

Opera nie jest dziś nigdzie przedsiębiorstwem—dochodowem. Publiczność nie jest w stanie pokryć ogromnych kosztów. U nas, w Warszawie, istnieje opera dzięki finansowemu połączeniu jej z poważną i lekką sceną dramatyczną, operetką i baletem, czem wszystkim zarządza rządowa Dyrekcja Teatrów, utrzymując z trudem w równowadze pojedyncze pozycje wspólnego tych kilku przedsiębiorstw budżetu.

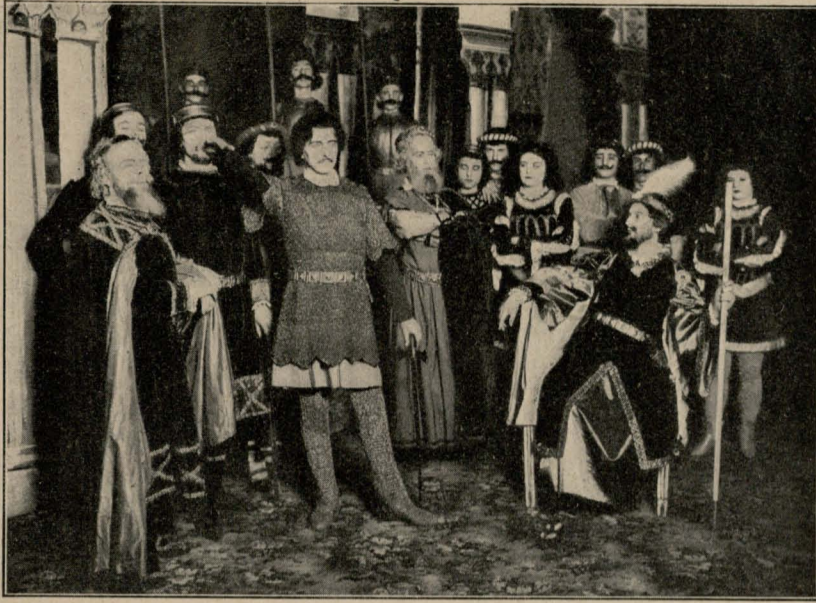
Przed dwoma laty ówczesny administrator, *vel* dyrektor Filharmonii, p. Al. Rajchman, wydzierżawił na rzecz Filharmonii operę od Dyrekcji Teatrów na lat trzy, sądząc, że uda mu się zasobami artystycznymi Filharmonii wspierać operę i—odwrotnie, utrzymując w ten sposób w równowadze finansowej obie instytucje. Plan gospodarki w obu instytucjach miał za ideę przewodnią: ciągle podsyłanie frekwencji „nadzwyczajnymi” atrakcjami, t. j. występami „gwiazd” pierwszorzędnych, efektownym układem programów i repertuaru, starannością w interpretacji, wreszcie zręczną reklamą.

I nie da się zaprzeczyć, że w sezonie z 1907 na 1908 mieliśmy pod dyrekcją p. Rajchmana operę wcale niepowszednią, starannie i umiejętnie prowadzoną.

Lecz impreza dzierżawna—nie opłaciła się Filharmonii. Winę za to całą zwalono na... dyrektora; p. Rajchman podał się do dymisji, i szczęścia jeli próbować nowi dyrektorowie, pp. Leśkiewicz i Reszke.

Przed kilku dniami właśnie dobiegł do końca drugi z kolei sezon dzierżawny, z 1908 na 1909, i zbilansowano sezonowy budżet Filharmonii, prowadzącej operę. Rezultat okazał się fatalny. Obie syamskie instytucje dały w ubiegłym sezonie—z górą 100,000 rub. deficytu! Zbiegiem rzeczy, którego nie poruszam, cały ten niedobór pokrył z ofiarnością iście magnacką jeden z akcyonariuszów Filharmonii, ordynat Maurycy hr. Zamoyski.

Dodać wypada, że w ubiegłym świeżo sezonie mieliśmy operę bynajmniej nie wzorową, chwilami spadającą do poziomu całkiem prowincjonalnego, ratującą się „gwiazdami”, zaangażowanymi jeszcze przez p. Rajchmana, ubogą w nowości, nader mało artystyczną. Zaś publiczność dopisywała



Scena z „Cyda” Corneille’a, w układzie St. Wyspiańskiego.

z wytrwałością ochoczą, na którą zwracaliśmy na tem miejscu kilkakrotnie uwagę.

Zostawmy na stronie kwestję: kto winien?—czy gospodarka nieudolna, czy nadmierne „wymagania” i „kaprysy” artystów etc. etc? Fakt pozostanie widoczny, że prowadzenie opery nawet w połączeniu z Filharmonią powtórnie—nie opłaciło się.

Tedy Filharmonia oświadczyła, że nadal opery prowadzić nie będzie, płacąc oczywiście za zerwanie kontraktu Dyrekcji Teatrów 25,000 rub. zastrzeżonej indemnizacji. Ponieważ zaś w pierwszej chwili Dyrekcja też oświadczyła, że niema wcale ochoty prowadzić opery, widząc onej kosztowność niemiłosierną, przeto poszedł po Warszawie popłoch okrutny: *wcale* opery mieć nie będziemy!

Łatwo jednak było, na chłodno, przewidzieć, że przecie takie miasto, jak Warszawa, nie może zgoła nie mieć... opery! Owóż i Dyrekcja Teatrów rozmyślała się i—bierze na siebie z powrotem prowadzenie opery, a ponieważ p. prezes Małyszew złożył już niezbite dowody energii i pieczołowitości około sceny dramatycznej, mamy przeto rację dobrą mniemać, że w sezonie przyszłym mieć będziemy operę—godną Warszawy.

Trzeba ją tylko zorganizować, ułożyć repertuar, zaangażować artystów, ułożyć cały plan kampanii, a decyzja Filharmonii zapadła teraz dopiero. Dyrekcja Teatrów podała tedy do wiadomości, że przyszły jesienny sezon operowy rozpocznie się nieco później, niż zwykle.

Na tem zakończyło się nasze „przesilenie operowe”, i wróciło wszystko do dawnego porządku rzeczy.

Ostatni występ opery pod egidą Filharmonii odbył się w „Tosce” z p. Margot Kaftalówną w roli bohaterki. Pomimo letniej już całkiem pory, odciągającej od teatralnej sali, publiczność raz jeszcze dopisała jak najpiękniej, oklaskami i kwiatami żegnając na trzy miesiące z okładem operowe wieczory teatralne.

Tymczasem teatr Gawalewicza (Mały), pragnąc utrzymać się na linii literackiego artyzmu, a zbaczający tylko od czasu do czasu w stronę nieodzownej „kasowości”, wystawił w ślad po „Dziadach” istotnie niepowszednią i cenną nowość, „Cyda” Corneille’a w przepolszczeniu i przerobieniu St. Wy-

spiańskiego. Zaiste, nie byle jaki eksperyment i autorski, i teatralny! Czy jednak celowy i zasługujący na dymy kadzideł, które buchnęły ku niemu ze wszystkich organów prasy? Dlaczego bowiem i po co... przepolszczać (co za wyraz!) „Cyda” Corneille’a? Corneille uczynił z dramatu hiszpańskiego sztukę nawskroś francuską. Więc cóż? Nie jest to przecie dla Corneille’a tytuł do zasługi i chwały. Wyspiański pozbawił francuskiego „Cyda” charakteru i stylu, a nawskroś polskiej sztuki współczesnej nie urobił z francuskiego oryginału. Już Morsztyn, „tłómacząc” „Cyda” (wystawionego na teatrze dworskim Jana Kazimierza w 1661 roku), skaził okrutnie oryginał. Osiński przynajmniej starał się dać przekład wierny i poprawny. Lecz cóż za pasya rzuciła Wyspiańskiego do gospodarowania, jak we własnym domu, po klasycznej tragedii francuskiej i czyjej-że jeszcze?... Corneille’a.

W rezultacie: nie otrzymało piśmiennictwo polskie ani wzorowego przekładu kornelowskiego „Cyda”, ani sztuki *pur sang* Wyspiańskiego. I w dodatku taki prawie dziwoląg grać szalenie trudno. Nie wiedzieć bowiem—jak? Czy *à la* klasyczne tragedye z XVI wieku, czy w tonie i stylu dramatycznych arcy-oryginalnych i indywidualnych utworów Wyspiańskiego? Czy, pomimo wyrzucenia ze sztuki przez Wyspiańskiego nawet typowych aleksandrynów Corneille’a, grać „Cyda” wedle tradycji Comédie Française, czy, wzorując się na ustalonym przez teatr krakowski sposobie interpretowania... Wyspiańskiego?

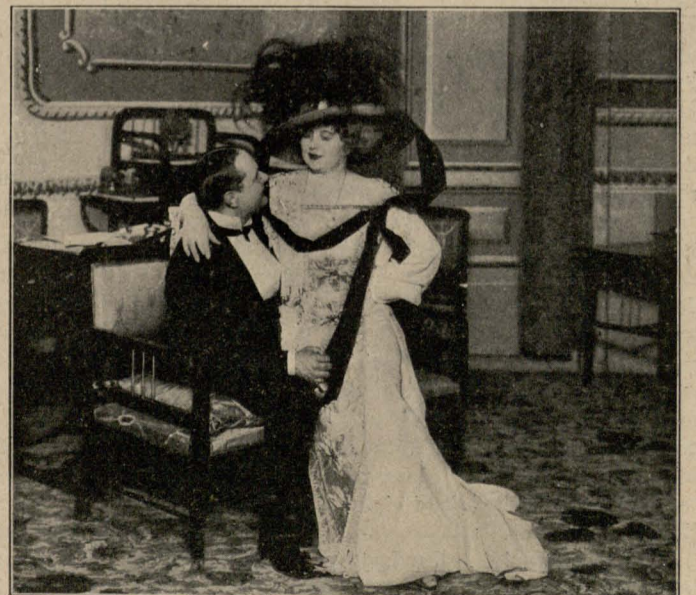
To też, jeżeli p. Mielewski, wysoce utalentowany artysta, zdobył się na rzetelnie piękną deklamację bohaterską, a p. Pytlińska zachowała w geście i pozie czyste linie klasyczne, nie dowodzi to jeszcze wcale, że *całość* bardzo a bardzo starannie wystawionej sztuki nie ujawniła rozdzwiku stylowego, który w sztukę wprowadził—sam Wyspiański.

Wszelka bowiem *przeróbka*, nawet „genialna”, pozostanie *przeróbką*. Słowacki (aby uchylić nasuwającą się uwagę), brał to i owo z Szekspira, lecz nie przerabiał i nie stylizował *à la* Słowacki „Hamletów” i „Mackbethów”.

Wyobraźmy sobie np. przepolszczoną „Kobietę nagą” Henryka Bataille’a, sztukę *par excellence*—paryską. Wyobraźmy sobie, że dokonałby dzieła np. majster też sceniczny nielada, Kazimierz Zalewski, autor sztuk *par excellence* warszawskich. Wówczas stałby się musiało jedno z dwojga: albo pierwszy akt, przeniesiony ze środowiska malarzy paryskich i Salonu paryskiego w żywe stosunki i stosunek naszej... Zachęty, naszej kolonii malarskiej, straciłby z kretesem swój charakter



Ostatnia scena ze sztuki Bataille’a „Naga kobieta”.



Scena z lekkiej komedii „Osiołek” de Flers’a i Caillaveta’a.

paryski, albo musiałby Zalewski, chcąc zachować to, co specyficznie jest Bataille'a, niewolniczo tekst tłómaczyć, *oddając* doń to i owo, *wyrzucając* inne i tym sposobem tworząc coś *per modum*... gotyckiej piramidy, lub bizantyjskiego *barocco*.

Bowiem „Kobieta naga” jest do tego stopnia sztuką paryską, że połowa jej powabu ginie... dla publiczności warszawskiej. Drugą zaś połowę sztuki, tę, która dla nas nie ginie, wypełnia banalny i płytki w stylu Ohneta konflikt melodramatyczny między modelką a księżną—o serce słynnego malarza. Słynny malarz, wyniosłszy ex-modelkę i przyjaciółkę swoją na stanowisko legalnej żony, przestaje ją kochać i kochać zaczyna wielkoświatową zalotną damę. Nieokrzesa, lecz serdeczna i dobra Lolotte Cassagne jest ogromnie nieszczęśliwa, lecz—Henryk Bataille nie potrafił tragedii jej uczynić tragiczną—dla nas. W tem pięta Achillesowa sztuki, skądinąd napisanej ze znacznym talentem scenicznym, a mającej na scenie warszawskiej, w roli Lolotte'y, prześwietną interpretatorkę w osobie p. Maryi Przybyłko.

Najświeższą tedy premierę w Teatrze Letnim nie nazwać sukcesem—repertuarowym.

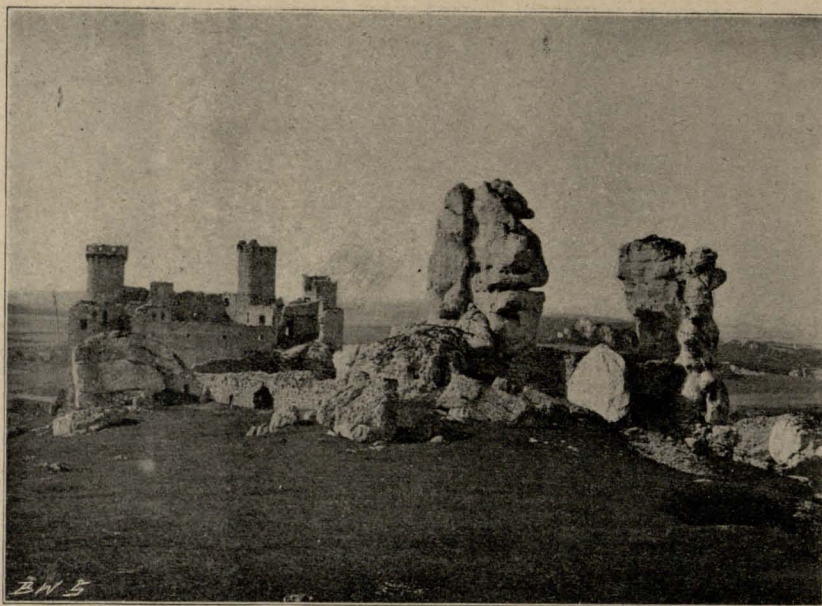
Natomiast niewyczerpany w fortelach repertuarowych p. Śliwiński, wygrawszy świeżo grubą stawkę w Nowościach doskonałą operetką „Bohaterowie”, zaprezentował w swoim Teatrze Nowym przy ulicy Królewskiej... najrzetelniejszą komedię, a tak pełną dowcipu, humoru, zręczności pisarskiej, werwy, subtelnej a złośliwej ironii, że — śmiało nazwać ją można arcydziełem francuskiego kunsztu scenicznego w najnowszym „rodzaju”. Rodzaj to pośredni między farsą a komedią... mniejsza zresztą, jaki rodzaj, dość, że dobry.

*L'âne de Bouridan* (w polskim przekładzie brzmi tytuł: „Osiołek”) zowie się trzyaktowa sztuka znanej spółki autorskiej, de Flers'a i Caillavet'a. Temat bajkowy, ile że starą, z XIV w. parabolę scholastyka Buridana o osła, który nie mógł zdecydować się, czy w pierw zjeść, czyli napić się, i padł z głodu i pragnienia między sianem a wodą, spopularyzowała u nas znana bajeczka: „Osiołkowi w żłoby dano”. Buridan chciał parabolą swoją, do dziś dnia przysłowiową, dowieść słabości woli—w człowieku. Zarówno przeto jego przysłowiowy osioł, jak bohater sztuki p. Jerzy vel Jurek Boullains nie jest bynajmniej li tylko pospolitym... osiołkiem. To figura psychologiczna, to osł, dokoła której obracają się wcale bystra filozofia życiowa i subtelna satyra.

Jerzy Boullains jest tylko głupi okrutnie. Lecz młody, przystojny, zdrów. Dla kobiety, mówi przysłowie francuskie, wart jeden młynarz czterech filozofów. Bywa, że czterech filozofów ubiegnie—jeden osioł. Za przykład służyć może p. Jerzy Boullains. Ginią za nim kobiety. Każda dlań dobra i dla każdej on dobry. Dla smakoszek w rodzaju pani de Versanne, jej przyjaciółki, damy światowej, i Vivetty z półświatka; lecz i dla bezwiednej ofiary fizyologicznego uroku głupiego Jurka, dla zucha-dziewczyny, serdecznej i poetycznej Michalinki. Akurat dla czterech kobiet wystarczył—jeden osioł!

Ale oto sypiący obcesowo na prawo i na lewo ostremi zalecankami bohater sztuki, don Juan zawołany, zaplątał się we własne sidła. Przyparty do muru, zdecydować się musi wybrać jedną niewiastę z owych gotowych na jego usługi. Waha się, jak najrodowitszy... osioł Buridana; potem w głupocie swej traci jedną, drugą, trzecią. Byłaby „osłina z głodu padła”, gdyby nie energiczna interwencja Michalinki. Zuch-dziewczyna bierze sobie bez ceremonii p. Jerzego za męża. I basta. I—domniemanie—będzie z nim wystarczająco szczęśliwa.

Domniemanie!... Bo sztuka nie jest tylko brutalnem wydrwieniem zaznaczonego wyżej... gustu kobiecego. Jest w niej, użyty z prawdziwą miarą i wykwiutnym smakiem: akcent lirycznej melan-



Ruiny zamku w Ogródzieńcu. Fot. Z. Bułakowskiej.

chologii życia, który, jak szczypta soli, rzucona w potrawę, wartość jej natychmiast podnosi.

Któryś z kolegów moich po piórze sprawozdawczem zaznaczył, iż „Osła Buridana” należało wystawić nie w Teatrze Nowym (dla krotochwili), lecz w Teatrze Letnim, w willegiaturze Teatru Rozmaitości; że właściwiej było powierzyć rolę główną p. Frenklowi, niż p. Fertnerowi. Wniósłbym do słusznej tej uwagi — „poprawkę”. Ach! czemu też p. Frenkiel nie może objąć głównej roli... wśród doskonałego *ensemble* Teatru Nowego. Kwestya wówczas byłaby rozstrzygnięta. P. Fertner bowiem jest niepowszednim artystą, lecz — w swoim rodzaju, a właśnie rodzaj ten obniżył komediową postać głupiego Jurka, czyniąc ją płytką i płaską.

I niech nas nie rozbrajają nieustanne wybuchy śmiechu oraz świetne bawienie się publiczności w Teatrze Nowym. Sztuka de Flers'a i Caillaveta zasługuje na większe uhonorowanie, niż zwykłym sukcesem „zabawnej” krotochwili.

CZESŁAW JANKOWSKI.

## WAKACYE.

Nawet dla nas, którzy już oddawna nie miewamy prawdziwych wakacyi, wolnych od trosk i kłopotów, brzmi ten wyraz wspomnieniem słodkich czasów w wieku młodzieńczym, wolności i swobody, nie zaznawanej już potem nigdy w latach dojrzałych.

Wakacye... Za chwilę wskazówka zegara szkolnego zatrzyma się na tym punkcie zwrotnym, i gwarna rzesza chłopców i dziewcząt rozproszy się po całym kraju, aby zaczerpnąć do zmęczonych płuc świeżego powietrza i nabrać sił do dalszej pracy. Wesoły śmiech zadźwięczy w domach rodzicielskich. Wieś polska zaroi się od przybyśzów z miasta, wśród łanów dojrzewającego zboża wykwitną, jak maki polne, zaróżowione twarze dzieci, a stare sosny po lasach będą szumiały młodemu pokoleniu odwieczną pieśń ziemi, czekającej na swój dzień przyszły, przebijający się z trudem przez chmury smutnej teraźniejszości...

Po wysiłku szkolnym, po długim szeregu dni, spędzonych w ciasnej, dusznej sali, wśród hałasu, turkotu i kurzu miejskiego, nastaje okres wypoczynku. Młodość odzyskuje swoje prawa, obejmuje w posiadanie dziedzinę przynależnego jej życia, kąpie się w słońcu, opala na wietrze, obcuje bezpośrednio i blisko z przyrodą w momencie najbujniejszego jej rozkwitu, kiedy miłościwe lato przygotowuje z zawiązków wiosennych plon na bogatą jesień.

Wypoczynek—to hasło wakacyi, swoboda—to ich sztandar. Rozwijając jednak ten sztandar, nie można zapomnieć i o pożytku, jaki wakacye przynieść powinny młodemu umysłom i młodemu sercom. Młódzież miejska zwłaszcza, jako odgradzona zupełnie od ludu, nie znająca w stopniu dostatecznym jego zwyczajów i obyczajów, nieświadoma pracy tych, co „żywią i bronią”, ma podczas wakacyi sposob-

ność zbliżenia się do ludu, zaznajomienia się z jego troskami, potrzebami i nadziejami.

Rzeczą rodziców i wychowawców jest zbliżenie to ułatwić i nadać mu cechy pedagogiczne, cechy obywatelskiego współobcowania. Współobcowanie to jednak trudne jest do osiągnięcia na terenie podmiejskim, gdzie w suchotniczych laskach stoją domki letnicze, a spacer po wydmach piaszczystych jest jedyną rozrywką i jedyną przyjemnością dla dzieci, podczas gdy starsi grają na werandzie w winta lub... wymykają się do Warszawy.

Osiągnąć je można dopiero na prawdziwej wsi, w głębi kraju, który posiada tyle pięknych okolic, tyle odmian etnograficznych. Dość wymienić księstwo Łowickie, Kujawy, podgórze Ś-to Krzyskie, okolice Puław i Kazimierza, Sandomierskie, Lubelskie, Pt-szczę Kurpiowską i t. d.

Kto więc może, kogo obowiązki zawodowe nie zmuszają do spędzenia lata w pobliżu Warszawy, powinien szukać letniska dalej, a zyska na tem podwójnie. Naprzód zaoszczędzi wiele na kosztach, potem ułatwi swoim dzieciom poznanie ludu polskiego, nie skażonego jeszcze wpływami wielkich miast i wielkich środowisk życia fabrycznego.

Wrażenia, wyniesione z takiego letniska, pozostaną już na całe życie, a będą niewątpliwie i bogatsze, i pożyteczniejsze od wrażeń, przywiezionych z jakiejś obcej plaży, lub z obcego zdrojowiska, gdzie międzynarodowy tłum wiecznych koczowników snuje się w znużeniu i apatii. Tymczasem nawet najskromniejsza, byle prawdziwa wieś polska budzi w duszy tysiące drzemających w niej głosów i rodzi to głębokie ukochanie ziemi ojczystej, podłoże wszystkich późniejszych uczuć obywatelskich.

Z. D.

## LETNICY.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Z różnych źródeł pochodzi różnych ludzi dorobek...

Jeden łasy na cudze, drugi sknera lub skrobek, temu trzoda się darzy, ów na „dworskim” wypasa...

Różnie ludzie mówili o Macieju z pod lasa! Nie tak dawno—chudzina, dzisiaj—bogacz nielada!

Z „gęsią” sypia rok cały, dobrze pije i jada, dawniej chodził na „piechty”, dziś... w a s a g i e m w p a r a d z i e! Przyodziewek n a j l e p s z y m a w c a l u s k i e j g r o m a d z i e! Jak kobietę wystroi, niczem s a m a s o ł t y s k a! c o n i e d z i e l a s t r ó j i n n y: n o w y f a r t u c h, c z y k r z y k a...



Rycerz (Świątek) w drodze na Św. Krzyż.

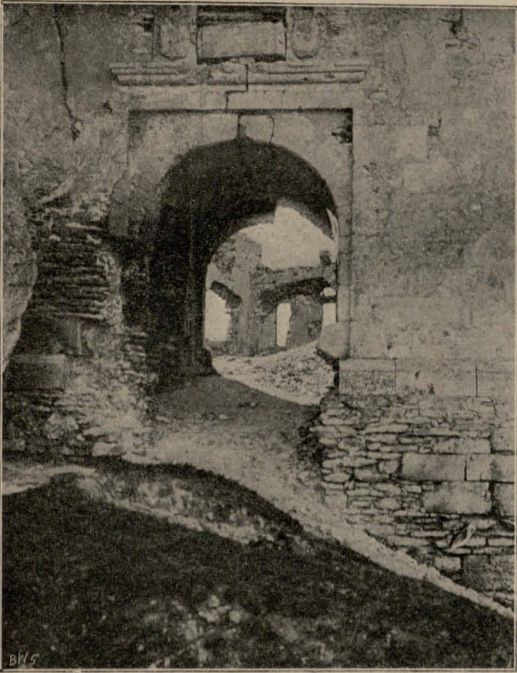
A i w izbie bogato wszelakiego obrządku. To też ludzie Macieja obnosili z początku, że się ze złym zadaje, że czaruje, że wróży, że grosz cudzy zagarnął, uroniony w podróży...

Każdy gadał to, owo,  
Każdy z bajką się ozwał...  
Aż się Maciej pogniewał  
I do sądu ich pozwał!

Tu się wszystko wydało...

Wobec sądu, ławników dokumentnie wykazał, że ma „prefit” z... letników! Wyrachował do grosza: ile z masła, jaj, mléka, ile z kąta na spanie miał z jednego letnika!





Brama wjazdowa do zamku w Ogródzieńcu.  
Fot. Z. Bułakowskiej.

I dziś każdy Maćkowi  
Sprawiedliwość przyznaje,  
Bo takiego dochodu  
Żadne bydłe nie daje.

Ale żart na stronę. Nie o taki tylko „dorobek” idzie.

Czerwiec to miesiąc letników. Wieś wita starem: „Niech będzie pochwalony” gości z miasta.

Zaludniają się podwarszawskie: Urle, Płudy, Mrozy, Jabłonne, Skolimowy! zaludniają Wólki i Dąbrowy, następuje „osmoza” myśli, przekonań, zwyczajów, nawyknień między tem wielkiem zbiorowiskiem „miastem”, zwanem, a cichym wsi zakątkiem.

I nie tylko podmiejskie blizkie strony, ale kraj cały wita swych gości miejskich. Od skał Ojcowa po Druskienickie brzegi Niemna, Kazimierz, Nałęczów, Pieskowa Skała, ruiny Czorsztyna, suwalskie Wigry i podlaskie knieje mają dziś swych wakacyjnych wędrowców, co z murów miasta na wsi używają wczasów.

A wczasy te mają oprócz zdrowotnego i społecznego znaczenie: zbliżają dwie kategorie obywateli kraju, dają możność wzajemnego poznania się, rugując stopniowo tę „obcość”, jaka czasami dość silnie między wieśniakiem a mieszczaninem się zaznacza.

I doprawdy, letnicy mogliby być nie tylko „Maćkowym dorobkiem” w wielu wypadkach.

Przecież „miasto” mieni się przedstawicielem oświaty, tej prawdziwej oświaty, a oświata wkłada obowiązki oświecania mniej światłych.

Gdybyż więc ci, co z letnich na wsiach korzystają wczasów, chcieli o tym najlepszym gościńcu dla wsi polskiej pamiętać.

A nie są to znów ani zbyt trudne, ani niedostępne rzeczy.

Kilkadziesiąt książek ze specjalnych bibliotek to zaledwie paro-rublowy wydatek, rozmowa z włościaninem o sprawach, kraj obchodzących, zaszczepienie wiadomości z dziedziny higieny, gospodarstwa, gawędy o wynalazkach, objaśnienia zjawisk przyrody, wpajanie zamiłowania do zabytków przeszłości—czyż to są rzeczy tak trudne?

A przecież wszyscy wiemy, jaki walor ma żywe słowo, nieraz silniej od książek uczonych działa.

To dla wsi, dla tej „gosposi”, co nas, miejskich ludzi, przez czas letni wypoczynkiem darzy.

A i dla siebie samych, i dla ogółu można ten czas wyzyskać i pożytecznie, i przyjemnie.

Krajoznawstwo nie ogranicza się na świadomości... marszruty—a kto kraj kocha, ten i znać go powinien, i bogacić ciągle tę swoją i ogółu znajomość nowym nabytkiem.

A toć przez lato mamy cały skarbiec przyrody, całą skarbnicę pamiątek otwartą!

Kilka godzin tygodniowo, poświęconych na zebranie lub opis tego, co dana okolica posiada,

a utworzyłyby się muzeum pierwszorzędne i biblioteka krajoznawcza okazała!

Fauna, flora, wierzenia i gadki ludowe, czarowne ziela i siekiery krzemienne, przemysł ludowy i pamiątkowe mury Ogródzieńców, Świętego Krzyża, Chęciny, Olsztyna! Cała wielka kopalnia.

A ile to pamiątek po cichych cmentarzach wiejskich! ile zabytków sztuki po kościołkach!

Wszystko to czeka na „mądre miasto” we wsi nieuczoney. Dość ręką sięgnąć, dość oczy otworzyć, dość, dość! Niestety, dotychczas z małymi wyjątkami „letnicy” dali wsi jeno „Maćków dorobek”—bogdaj, że nawet gorzej... Ale nie chcę sądzić nikogo—przytaczam tylko suchy, goły fakt.. cywilizowanego barbarzyństwa.

Na stokach Łysej góry, u murów Świętokrzyskiej świątyni stał posązek, ziemowitową dobę pamiętający. Jakiś pogański „Świątek”. Ciekawy, cenny zabytek pod każdym względem.

Stał wieki całe, szanowany nawet przez pastuszków wiejskich.

Aliści zjawili się jacyś cywilizowani turyści, którzy posązkowi odtrącili... ręce!

Doprawdy, trudno jest nie pisać satyry.

Barbarzyńscy Gallowie szanowali zabytki wrogię im Rzymu—my swoim odtrącamy ręce.

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

### Kamienica Nr. 18 przy ulicy Piwnej.

Z powodu zamieszczonej w Nr. 24 *Tygodnika Ilustrowanego* ilustracji z wyobrażeniem herbu Królestwa, odśloniętego przy odnawianiu fasady domu Nr. 18 przy ulicy Piwnej, podajemy tu niektóre szczegóły, odnoszące się do przeszłości owej historycznej kamienicy.

W ubiegłych wiekach kamienica owa nosiła miano *kowalkowskiej*, następnie Falkiewiczów, wójtów Starej Warszawy. W r. 1669 należała ona do Stanisława Falkiewicza, który po raz pierwszy w godności wójta Starej Warszawy podpisał elekcyę Michała Korybuta.

Po Falkiewiczu dziedzictwo owego domu przechodziło kolejno do metrykantów, t. j. pisarzy aktowych. Najdawniejszym z nich, wzmiankowanym w zbiorze dokumentów księgi hipotecznej, był w r. 1740 Sebastyan Rybczyński, pisarz dekretowy koronny, ostatnim z rządu przed rokiem 1835 był rozgłośnego imienia uczony, znawca sanskrytu, Walenty Skorochód Majewski, członek b. Towarzystwa przyjaciół nauk, postać wybitna i oryginalna, jedna z niewielu, która do końca życia, już po listopadowem powstaniu, nie porzuciła kontusza, żu-



Supraport z nad sieni domu Nr 13, przy ulicy Piwnej.

pana i rogatywki. Ów to Walenty Skorochód Majewski, nabywszy w r. 1816 kamienicę Nr. 18 przy ulicy Piwnej, umieścił w niej pierwszą i ostatnią drukarnię z czcionkami sanskryckimi. Nad drzwiami wejściowemi wmurował orła białego na tle karmazynowem, z koroną królewską, oraz datami 1717—1816. F. M. Sobieszański w *Kuryerze Warszawskim* z r. 1877 Nr. 258). Emblemat ów nie-

wiadomo z jakiego powodu został w roku 1840 zasłonięty warstwą tynku, dopiero przed kilkoma dniami wypadkowo na ślad jego natrafiono i odślonięto, na szczęście bez uszkodzenia.

Po śmierci Skorochoda Majewskiego dom ów przeszedł na wdowę i owdowiałą po Kasprze Buczyńskim jedyną córkę jego i w r. 1840 sprzedany został wdowie Helenie Gierzyńskiej, po której w charakterze właścicieli objęła go rodzina Ratułdów, Magdalińskich i Hirszfeldów.

W r. 1873 kamienicę dawną kowalkowską nabyła Emma Kozicka, małżonka Członka Senatu, i Cecylia Wernerowa, żona Symeona Wenera.

Nabytą w całości przez p. Kozicką nieruchomości odziedziczyły dwie córki, panie Eichlerowa i Thiemowa. Ostatecznie w drodze działów historyczna kamienica stała się własnością pani Heleny Thiemowej, żony doktora, i w jej posiadaniu obecnie pozostaje.

A. K.

USZKODZONA PAMIĄTKA.



Pod samą Ś-to Krzyską górą, od strony Nowej-Stupi, stoi odwieczna, wykuta z kamienia figura klęczącej postaci rycerza czy mnicha. Znana ta figura wszystkim, zwiedzającym kraj ojczysty, utkwiła im na zawsze w pamięci, jako zrosnięta już z krajobrazem podgórze, a liczne legendy, przywiązane do tej tajemniczej postaci, uczyniły ją drogą spuścizną dawnych wieków. Różne w ciągu stuleci całych oglądały ją oczy, często oczy wrogów, jednak każdy uszanował całość tej niezwykłej pamiątki. Nareszcie w tych dniach złośliwa a barbarzyńska, zarazem obca nam młodzież uderzeniami kamienia odtrąciła postaci nos, usta, dłonie, złożone do modlitwy, i część rąk nawet. Turyści, zatrzymujący się przy uszkodzonej pamiątce, wyrażają swe oburzenie, pątnicy przeklinają sprawcę.

### TARGOWICA A „ISTINNI”.

Kiedy pod koniec XVIII wieku patryoci polscy, celem wzmocnienia organizmu państwowego, rozszerzyli prawa obywatelskie na te warstwy, które dotąd były ich pozbawione, podniosły się głosy obrońców dawnych przywilejów, ludzi, którzy utrzymać je pragnęli wyłącznie dla siebie, odsądzając od nich wszystkich innych spótbodywateli.

Od zwalczania słownego przyszło do spisku, do smutnej pamięci konfederacji targowickiej, wreszcie do wezwania obcej interwencji w obronie zagrożonych przywilejów. A wszystko działo się pod pokrywką wierności tradycji, niewzruszoności praw, wiekami uświęconych, zaprzysiężonych przez króla, od czego nikt jakoby nie miał prawa rozgrzeszyć. Zamęt, z tego powodu wynikły, i dalsze dzieje jego wiadome są każdemu, ażeby je tu powtarzać było potrzeba.

Za dni naszych patrzmy na zjawisko, bardzo tamtemu pokrewne, na terenie innym wprawdzie, ale pod wielu względami analogicznym z tamtym. Gdy patryoci rosyjscy czynią wysiłki, ażeby odrodzić społeczeństwo, a udarowując obywatelstwem wszystkie ludy i stany, berłu ro-



TRĘBACZ I KOWALOWA (z wystawy „Zera” w Krakowie)

WOJCIECH KOSSAK

syjskiemu podległe, powiększyć przez nie szeregi tych, dla których nowy ustrój państwowy stałby się cenną wartością, którzy bronić go byłiby nie tylko gotowi, ale gotowi nadto dla obrony jego poświęcić się, wtedy wysuwają się na czoło samoluby, ceniący więcej uprzywilejowane stanowisko swoje, niż całość i dobro państwa, niezdolni nic dla tej całości ze swych dotychczasowych prerogatyw poświęcić, broniący dawnego ustroju z gorliwością, godną lepszej sprawy i paraliżującą wszystkie wysiłki lepszych ludzi, dalej widzących patriotów rosyjskich.

Analogia między targowicznymi polskimi z końca XVIII w. a reakcyonistami rosyjskimi jest ciekawa z tego względu, że, jak jedna, tak i druga, dokonywały się w prowincjach kresowych, przez grupy, stanowiące na tych kresach element napływowy, odrębny od żywiołu miejscowego, wyzyskujący stanowisko swoje uprzywilejowane wśród otoczenia, walczący o utrzymanie tego przywileju; jest ciekawe jeszcze i z tego względu, że, jak jedna, tak i druga działały w duchu ościennego mocarstwa, dla którego rozterki domowe w państwie sąsiednim były pożądanym, dlatego też rozdmuchiwane, podtrzymywane, darzone szczególną opieką i zapewniane o gotowości poparcia.

Losy Polski powinny być przestrożą dla Rosji. Czy z nich skorzysta?

Trudno spodziewać się rychłego opamiętania. Systematyczna, jakby celowa nieznajomość dziejów Polski—ażebym przejścia jej i dzieje nie otworzyły oczu rosyjskich na wpływy postronne—nasuwa przypuszczenie, że ta chwila nieprędko jeszcze nastąpi.

H. W.

## WYSTAWA „ZERA“.

Charakterystyką wystawy „Zera” jest kompozycyjność wystawionych na niej obrazów. Kompozycję uznano nawet w statucie „Zera” za kardynalny warunek przynależności do tego owalnego znaku, chociaż w praktyce musiano zgodzić się na pewne rozszerzenie, a zarazem zatarcie pojęcia tej kompozycji. Pod względem artystycznym wystawa nic na tem nie straciła, przeciwnie, zyskała na ilości zajmujących i pouczających stopniowań i przejść od takich *par excellence* kompozycyjnych dzieł, jak przepiękne płótna Kossaka, do skromnych szkiców figuralnych i pejzażowych.

Przechodząc do szczegółów, zacząć należy od szanownego prezesa, p. Wojciecha Kossaka. Wystawił ośm obrazów, z których znane już czytelnikom *Tygodnika Ilustrowanego* z reprodukcji niedawnej arcydzieło temperamentu, rozmachu i maestrii technicznej, „Wizyta na Woli Justowskiej”, wybijają się bezsprzecznie na plan pierwszy. Przepyszny w kolorze i z dużym smakiem zaaranżowany portret p. H. i śliczna tempera, przedstawiająca ks. Radziwiłła na polowaniu, uzupełniają doskonale wrażenie, jakie Kossak-portrecista wywarł na zeszłorocznej wystawie swoim po Velasquezowsku stylistycznym portretem p. Solskiej. Kossak jednak nie byłby sobą bez barwnego munduru, szabli i paradnego konia. W kombinowaniu tych elementów treści jest on mistrzem, niewyczerpanie pomysłowym, aczkolwiek bohaterowie jego zawsze w jednej znajdują się sytuacji, w sytuacji ataku na szablę, lance lub bagnety, albo w ataku na spojrzeń. Taki właśnie batalistyczno-erotyczny temat, z którego Mars i Wenus będą mieli zapewne niebawem swoją pociechę, widzimy na wielkim olejnym obrazie „Trębacz i Kowalowa”. Czytelnicy mają przed sobą reprodukcję tego świetnego dzieła, na którym wszystkie zalety niestrudzonego pędzla kossakowskiego występują z taką dokładnością, że ich chyba wykazywać osobno nie potrzeba. Mistrzowskie połączenie żywiołowej

junackości ze szczerym sentymentem niewieściego zachwyty, tak paradnie chwyconego na twarzy kowalowej, daje najlepsze pojęcie o wszechstronności, z jaką Kossak opanowuje i odczuwa swoje tematy. A jak to wszystko rysowane, z jaką brawurą śmigał po tem płótnie pendzel—o tem chyba u Kossaka nie potrzeba mówić!

A teraz na drugi biegun doskonałości—Jacek Malczewski, który wystawił cztery obrazy jednako doskonałe, a każdy po malarsku tak odmienny, że widz zdumiewać się musi tem bogactwem i tą rozrzutnością techniki i koloru, z jaką go mistrz ten zasypuje. Oto mistyczny jakiś koncert: mistrz Jacek w zbroi gra na jakiejś skrzypce drewnianej, a na końcu smyczka usiadł barwny motylek. Z tyłu baryera prosta i biała, o nią oparta postać niewieścia, a za baryerą szpaler drzew także równy, w daleką głąb cofnięty i swoim ciepłym tonem doskonale z zimnem stalowej zbroi zharmonizowany.

Gdyby można mówić o malowaniu nieskończoności, to w tym obrazie jest dużo z nastroju, który myśl o niej w duszy wytwarza. Te proste rysunkowo i kolorystycznie linie zasadnicze w kompozycji, ta ściana drzew z tyłu z przeświecającą za nią przestrzenią i ten rycerz, grający pancerną ręką jakąś tajemniczą melodyę—wszystko razem wytwarza nieporównany nastrój głębi, cudowności, a jednak i prostoty zarazem.

Inne duże płótno, nazwane „Pokusą”, przedstawia kobietę o bujnych kształtach—jakąś nimfę, czy rusalicę, jak się unosi na dużych jasnych skrzydłach nad głową zadumanego artysty. Jak tam w owym „koncercie” nastrój nieskończoności, tak tu nastrój wszechprzejmującej zmysłowości wydobyty jest z oszałamiającym wprost mistrzostwem.

Patrząc nań, zaczyna się rozumieć ten język barw Malczewskiego. Uznano go za alegorystę. Szerokie koła jego wielbicieli skłonne są traktować jego obrazy, jak rebusy, i, rozbierając je na części, pytają, co każda z nich z osobna znaczy. Co oznacza motylek na skrzypce, co owe szpony





ORKA (z wystawy „Zera” w Krakowie)

WŁODZIMIERZ TETMAJER

potworne, które na „Pokusie” wysuwają się ku artyście i t. p. Jest to jak najfatalniejszy sposób patrzenia i odczuwania Malczewskiego. Obrazy jego są czystą kolorystyczną liryką, walory pojęciowe pokrywają się tu z walorami treściowymi. Treść rzeczywista, t. j. owo szeregowanie na jednym płótnie zapału doskonale malowanych figur i przedmiotów, nie jest tu celem samym w sobie, ani też jakąś alegorią, którą potrzeba koniecznie „rozumieć” i „odgadnąć”, lecz jedynie środkiem do wywołania w widzu wrażenia i nastroju analogicznego do tego, jakie miał artysta w chwili tworzenia. Zatapianie się w szczegółach, dociekanie ich nie istniejących związków realnych czy też symbolicznych tylko byłoby tu przedsięwzięciem zgoła beznadziejnym, ponieważ wszystkie one są po to, aby się stopić w jedną całość podświadomego wrażenia i nastroju i tylko tak stopione powinny być oglądane.

Dwa oglądamy portrety: jeden męski „zwyyczajny”, to jest bez dodatków alegorycznych, daje nam Malczewskiego, jako doskonałego znawcę głowy ludzkiej i mistrza w osiągnięciu dużych efektów drobnymi środkami; drugi portret kobiety, nazwany „Salome”, łączy w sobie wszystkich Malczewskich, i liryka, i portreciście, i pejzażystę, którzy tu podają sobie ręce, aby stworzyć arcydzieło nastroju, subtelności charakterystyki portretowej i finezy *arrangement'u*. Przed tym obrazem banalne już twierdzenie o potędze i niezwykłości talentu Malczewskiego — przestaje być pospolitem „niejako... Odkrywamy go nanowo z tą radością, z jaką żywy człowiek patrzeć musi na rodzące się i stające życie.

Mistrz Pochwalski! Trzy portrety wielkie, arcyksiążę Karol Stefan w uniformie admirała na tle morza i dymiących w dali pancerników, hr. Koziebrodzki w kontuszu, bajecznie namalowanym, i hr. Ksawery Zamoyski w szarej burce i czapie futrzanej na głowie. W tym ostatnim portrecie artysta skupił się w głównych jego punktach — w głowie i ręce, dał rzecz, stanowiącą prawdziwą ozdobę

naszego malarstwa portretowego. Sumienniejszego studium, wyższej umiejętności skupienia szczegółów w całość jednolitą, głęboko przemyślaną, bardziej przekonującej, niemal dokumentalnej charakterystyki nie można już żądać. Ponad to mogą już tylko wyjść geniusze, którzy wogóle znajdują się poza wszelkimi pochwałami i uznaniem.

Dziwnie miłe uczucie radości i zadowolenia budzi znany autoportret Lenza i Frenkla na jednym płótnie. Znaczna część czytelników *Tygodnika Ilustrowanego* zna go z wystawy warszawskiej, a wszyscy z reprodukcji i opisów. Tu przeto poprzestaniemy na stwierdzeniu, że to doskonałe dzieło naszego malarstwa, które stanowiłoby ozdobę każdej wystawy, uświetniło także i „Zero” krakowskie.

Tetmajer dał „Raławice”, po arcydziele Chełmońskiego zadanie bardzo trudne, „Orkę” i kilka innych. Najlepszą wydaje mi się „Orka”. Odnajdujemy tu całego Tetmajera z jego głębokim odczuciem przyrody, wrażliwością barwy i przekonująco szczerym sentymentem.

Doskonałe studia kobiece Żmurki, trzymane przeważnie w ciepłym brązowym tonie („Patrycyuszka”), doskonale pod względem modelacji i nacechowane tą właściwą temu artyście łagodną zmysłowością, zajmujący obrazek rodzajowy „Umizgi” Wodzinowskiego, bardzo sympatyczne w kolorze i ruchu „Boginki” Żelechowskiego uzupełniają tę kolekcję „starszych”, obok których, wbrew wszelkim teoryom o przeciwieństwach młodych do starych, wcale licznie grupują się młodzi.

Na czele ich idzie bezsprzecznie Vlastimil Hoffmann. Artyście temu oddawna przepowiadano już świetną przyszłość. Obecna wystawa modyfikuje tę przepowiednię o tyle chyba, że zmusza do mówienia o świetnej już jego teraźniejszości, a nie dopiero przyszłości. Z pięciu wystawionych obrazów tego mocnego artysty „Madonna ze szpakiem” jest bezsprzecznie dziełem najwybitniejszym i świadectwem niepospolitego talentu młodego malarza najwymowniejszem. Na tle ubogiego na-

szego pejzażu i młodej zieleni wiosennej siedzi madonna, pojęta jako nasza kobieta wiejska, w kraciastej chustce na grzbiecie. Na kolanach trzyma ona chłopię, Chrystuska prześlicznego, z tym dziecinnie smutnym wyrazem miłutkiej twarzyczki, z jakim przypatruje się szpakowi, którego mu Matka pokazuje. Tuż obok klęczy św. Jan z krzyżem, zapatrzony również w popielatego ptaszka. Wszystko w tym cennym obrazie zasługuje na najwyższe uznanie. Pomysł, technika, użycie walorów barwnych, a przedewszystkiem ten urok szczerzej poezji, który wieje z obrazu, to prawdziwe natchnienie, które kierowało pędzlem p. Vlastimila.

Drugim młodym, godnym bacznej uwagi i szczerego uznania jest Alfons Karpiński, którego doskonale w charakterze i paradnie namalowana podtusiała córka Koryntu należy niewątpliwie do cenniejszych dzieł na obecnej wystawie.

Znany już czytelnikom *Tygodnika Ilustrowanego* sekretarz „Zera”, p. Leon Kowalski, prezentuje zajmujący i elegancki portret żony, ciekawą pod względem malarskim „Serenadę na Canale Grande” i bardzo dobrych kilka akwafort i *pointe sèche'ów*.

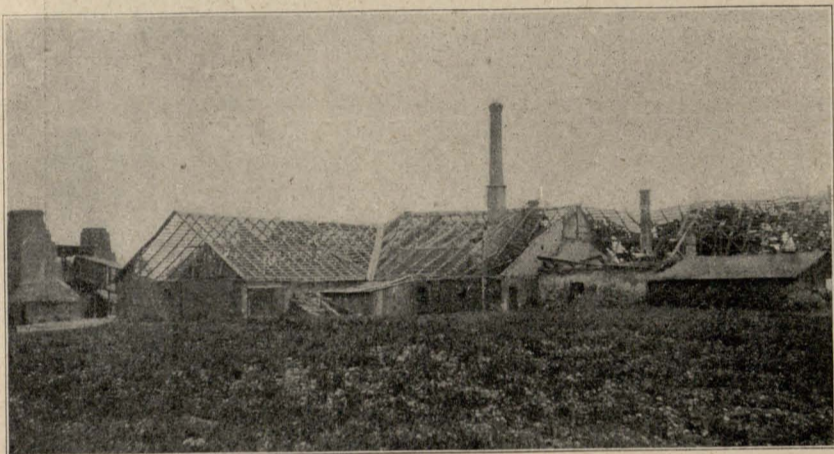
Zajmujące dzieła dał także Markowicz, którego specjalnością są przedewszystkiem Żydzi z ghetta z ich nędzą, pobożnością i wschodnim sentymentem. „Ślepy Żyd” np. tego malarza jest bardzo dobry, chociaż w pozie ma może zbyt wiele teatralności.

Resztę wystawy wypełniają młodzi, którzy, jak Rzegociński, Rembertowski, Kazimirowski, Karszniewicz i w. in., dają się poznać, jako artyści, zadania swoje poważnie traktujący i do coraz wyższych celów w sztuce swojej dążący. I chociaż tu i owdzie pędzel w ich ręku okaże się jeszcze zbyt twardym i za mało woli artystycznej posłusznym, to jednak dzieła ich pozwalają spodziewać się, że niebawem będzie w nich można powitać artystów, stojących w pełni rozwoju talentu i na wyżynie doskonałości technicznej. es.

## WYBUCH PROCHOWNI POD KRAKOWEM.



Mieszkańcy Podgórza pod Krakowem, poranieni podczas wybuchu prochowni.



Zabudowania fabryki gipsu, zniszczone przez wybuch prochowni na Podgórzu pod Krakowem.

## Bandyci kołomyjscy.

Zimy ubiegłej zdarzyło się na Pokuciu w okolicy Kołomyi kilka wypadków zuchwałych rabunków nocnych, które świadczyły o przetruciu się strasznej zarazy bandyckiej z poza kordonu granicznego do Galicyi. Banda rabusiów, używających masek i przyprawianych bród, napadała głównie na domy okolicznych proboszczów ru-



Kirylo Bukojemski, herszt bandytów kołomyjskich.

skich, szerząc wszędzie paniczny strach i zmuszając żandarmeryę do gorączkowych poszukiwań za sprawcami tych niesłychanych w Galicyi zbrodni. Ogólnie przypuszczano, że są to bandyci, którzy wyemigrowali z Rosyi i rozpoczęli wykonywać swe rzemiosło na obczyźnie. Wielkie też było zdziwienie, kiedy ich wreszcie schwytano i przekonano się, że są to wszystko młodzieńcy, do niedawna uczniowie ruskiego gimnazjum i ruskiego seminarium w Kołomyi. Hersztem bandy tej, która przez kilka tygodni niepokoiła nie na żarty całą okolicę Kołomyi, był dwudziestoletni Kirylo Bukojemski, były uczeń ruskiego gimnazjum i syn ogólnie szanowanych i zamożnych rodziców. On to, dobrawszy sobie wśród swoich kolegów szkolnych odpowiednich kilku towarzyszy, urządził nocami wyprawy zbójckie, napadał na bogatsze domy i, groźbą topora i rewolweru zmuszając napadniętych do spokoju i milczenia, kradł i rabo-

wał z niebywałą zuchwałością. W pierwszych dniach czerwca stanęli ci ruscy bandyci przed sądem przysięgłych w Kołomyi, który wszystkich ich skazał na ciężkie kary długoletniego więzienia.

**Zawiadamiamy niniejszem, że z dniem 1 czerwca r. b. reprezentację administracji „Tygodnika Ilustrowanego“ powierzyliśmy znanemu literatowi i redaktorowi „Śmiechu“, p. Franciszkowi Reinsteinowi.**

## Tetmajer u obcych.

Nakładem firmy wydawniczej W. M. Sablina w Moskwie ukazały się w przekładzie rosyjskim Kazimierza Tetmajera utwory: „Anioł śmierci“, „Zatrącenie“, „Panna Mery“, „Otcłtań“ (dwa wydania), „Melancholia“ i „Na Skalnem Podhalu“ pierwszy i drugi tom. Dwa te tomy ukazały się również w czeskim przekładzie Fr. Vondracka. Nowele „Na Skalnem Podhalu“ były drukowane w przekładach angielskich, słowiańskich, słowackich. „Książd Piotr“ wyszedł w zeszycie wydawnictwa oświatowego węgierskiego w Peszcie.

## ZE SZTUKI.

**MEDAL ORZESZKOWEJ.** W N-rze 11 *Tygodnika* podaliśmy podobiznę medalu, który na uczczenie 40-letniej pracy literackiej i społecznej Elizy Orzeszkowej wybił Komitet, zajmujący się obchodem jubileuszowym znakomitej autorki. Medal ten wyszedł z pracowni Jana Raszki, profesora rzeźby w Krakowie, znanego z wielu prac wielkiej wartości artystycznej, wielokrotnie odtwarzanych w naszym piśmie, najświetniejszego dziś może medaliera polskiego. Z popiersiem jubilatki, w stylu klasycznym traktowanym, i z piękną, oryginalnie

## MŁODE ADEPTKI SZTUKI DRAMATYCZNEJ.



Laureatki egzaminu klasy dramatycznej przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym, panie Sowińska i Sachnowska.

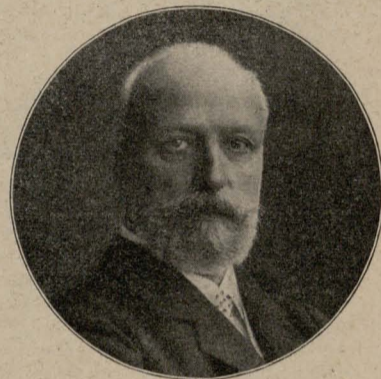


pomyślaną alegoryą na drugiej stronie medal Orzeszkowej przynosi zaszczyt artyście i sztuce medalierskiej polskiej. Obecnie nadeszły już do Warszawy pierwsze egzemplarze tego medalu, odbite w brzoźnie i srebrze, i są do nabycia w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Wydział Towarzystwa „Sztuka podhalańska“ w Zakopanem, na skutek prośb z różnych stron Polski, przedłużył termin nadsyłania projektów na konkurs na zabawkę artystyczną w stylu polskim, do dnia 20 czerwca r. b.

## NEKROLOGIA.

(CELIA) MARYA CECYLIA MIKLASZEWSKA zmarła 7 czerwca r. b. w Warszawie, w wieku lat 67. Z prac jej literackich *Tygodnik Powieści i Ro-*



Warszawskiej Szkoły Handlowej, a na wszystkich tych stanowiskach jedna sobie sympatyę ogólną przez wysokie zalety umysłu i serca.

W przełomowym dla Towarzystwa roku 1901 jubilat obejmuje ster nawy i w krótkim czasie wprowadza instytucję na tory normalnego rozwoju. Zaznaczyć należy, że Teofil Marynowski jest pierwszym Polakiem, który zdołał zająć tak wybitne w świecie ubezpieczeniowym stanowisko naczelnego w instytucji zamiejscowej, co nawet w swoim czasie posłużyło za temat do zjadliwych artykułów publicystom obozu szowinistyczno-reakcyjnego.

W świecie ubezpieczeniowym Jubilat zajmuje, dzięki swym niepożytym zasługom, jedno z wybitniejszych miejsc; społeczeństwo nasze przeto chlubić się może, że na stanowisku kierowniczem instytucji rosyjskiej Polak zdołał nie tylko utrzymać się, lecz i zaznaczyć dobitnie swą wartość.

## Ćwierć wieku na stanowisku.

Kto nie wie, jak ciężka i odpowiedzialna jest praca ubezpieczeniowa, ten nie jest w stanie ocenić, czym jest ćwierćwiecze trudów i walk ustawicznych na stanowisku odpowiedzialnym i naczelnym w instytucji ubezpieczeniowej.

Ogrom pracy i zasług niepoślednich, jakie położył dla rozwoju i utrwalenia „St. Petersburgskiego Towarzystwa Ubezpieczeń“ TEOFIL MARYNOWSKI, obchodzący w dniu 14 b. m. 25-letni jubileusz pracy w tej instytucji, nie da się streścić w krótkim artykule niniejszym; przestaniemy przeto na przypomnieniu kilku dat z życia jubilatki.

Członek zarządu i Dyrektor Zarządzający „St. Petersburgskiego Towarzystwa Ubezpieczeń“, Teofil Marynowski, ujrzał światło dzienne w r. 1853 w Sandomierskiem. Po chlubnym ukończeniu gimnazjum św. Anny w Krakowie udał się na politechnikę wiedeńską, którą też ze stopniem inżyniera ukończył.

W roku 1878 wstąpił Teofil Marynowski do wydziału ruchu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, ale już w dwa lata potem opuszcza nieodpowiednią dla swojej ruchliwej i pełnej energicznej inicjatywy natury posadę i wstępuje do Towarzystwa „Rosya“, rozpoczynając tem pracą na niwie ubezpieczeniowej. W krótkim czasie jubilat zdołał wybitnymi zdolnościami swymi zwrócić uwagę zwierzchników, bo już w roku 1882 zostaje powołany na stanowisko inspektora-likwidatora do Zarządu Głównego w Petersburgu, skąd już w roku następnym wraca do kraju i obejmuje Jeneralną Reprezentację „St. Petersburgskiego Towarzystwa Ubezpieczeń“, którą prowadzi przez lat 18, rozwijając z całą umiejętnością zakres operacji tego Towarzystwa w Królestwie Polskiem.

## W. Golińska

PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI, BRONZY, PORCELANA, PERFUMY.

„ŚMIECH“ Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1k 25.

## LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. „ENGLISH CLOTHING HOUSE“.

MEBLE STYLowe M. KALMUS MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

Składy na Meble

„SYRENA“  
Krak. Przedm. 38

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że WODY MINERALNE SZTUCZNE wyrobu WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR“ ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu. Zarząd.

WARSZAWIANKA



F. JANKOWSKIEGO.

BIELIŻNA MĘSKA I Damska K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

## UROCZYŚĆ SŁOWACKIEGO W MOSKWIE.



Rok jubileuszowy jednego z trzech królów poezji polskiej odbił się również serdecznym echem wśród kolonii polskiej, zamieszkałej w sercu Rosji. Młodzież akademicka polska, odbywająca studia w Moskwie, urządziła uroczysty i ładnie obmyślony wieczór na cześć znakomitego wieszca, poświęcając zebrany dochód na budowę pomnika. Obchód Słowackiego zapowiedziała gorąco i płomiennie napisana odezwa, której za motto posłużyły piękne słowa z „Lambra”: „...godzina wybiję, kiedy myśl słowa tajemne odgadnie, wtemczas odpowiedź będzie w sercu—na dnie.” Wzbudziła ona ogólne zainteresowanie wśród kolonii polskiej w Moskwie, to też, kiedy nastąpił dzień obchodu jubileuszowego, obszerna sala „Biblioteki polskiej” zapelniała się doszczętnie i po brzegi. Wieczór Słowackiego rozpoczął podniosłem co do treści i formy przemówieniem b. wychowawiec uniwersytetu warszawskiego, p. Remigiusz Kwiatkowski, kończąc je specjalnie na cześć mistrza ułożonym wierszem. Następnie rozchyliły się podwoje sceny, na której wśród nastrojowej ciemni zamajaczył w blaskach łagodnej księżycowej poświaty bogato ukwiecony biust Juliusza. Głuchy dzwon uderzył majestatycznie dwadzieścia razy, wybijając wiek XX, i przy dźwiękach harfy i wiolonczeli, ukrytej w proscenium, rozpoczął się prolog. Przed oczyma widzów kolejno przesuwaly się różne postacie z utworów Słowackiego, deklamując odpowiednie charakterystyczne ustępy i składając wianki u stóp mistrza. Nastrój na sali zapanował podniosły i uroczysty. Następnie z wielkim pietyzmem i bardzo malowniczo odegrane zostały przez zespół młodzieży dwa fragmenty z poematu Słowackiego: z „Lilli Wenedy” scena przed zamkiem Lecha i wstęp do „Kordyana”. Na zakończenie odbyła się podniosła apoteoza, w której wzięła udział młodzież akademicka, otaczając półkolem biust Słowackiego, a jeden ze studentów zadeklamował „Mój testament”. Wogóle wieczór Słowackiego udeł się znakomicie, budząc w sercach polskich gorące pragnienie przeżywania podobnych momentów jak najczęściej.

## Za króla Olbrachta.

Na krakowskim grodziszczu czwarty z Jagiellonów zasiada, wychowanek Kallimacha, trzeci z synów Kazimierza i spadkobierca jego śmiałych i dumnych marzeń dynastycznych. Starszy z braci jego, Władysław, dwie korony, św. Wacława i św. Stefana, dźwiga na dostojnej skroni, młodszy, Aleksander, przywdział witolodowy kołpak wielkości księżęcy. Dla najmłodszego, Zygmun-



Głowa króla Jana Olbrachta, z pracowni Stanisława Stwosza.

ta, roi o gospodarstwie wołoskiem, by stworzyć z tej krainy pierwszą, najdalej wysuniętą strażnicę przeciw Turkowi. Rozwiały się te rojenia szczytne w lasach bukowińskich, a imię Olbrachta, za którego „wyginęła szlachta”, pozyskało smutną pamięć w historii, jako symbol klęski i zdrady.

Jednocześnie Polska nowoczesna,

wychynawszy się z mgławic średnio-wieczna, krzepnie w ustroju parlamentarnym, który w kilka lat potem, za Aleksandra, w roku 1505, przybiera postać ostateczną w słynnym statucie *Nihil novi*, a szlachta, wyniesiona do szczytu potęgi łaską i dyplomacją pierwszych Jagiellonów, zdobywa wyłączność przywilejów, wolnego kmicia przemienia w niewolnika, „łykom” odbiera resztę ich przywilejów...

Taką doniosłą niezmiernie chwilę dziejową przypomina najnowsza powieść Kazimierza Glińskiego, utalentowanego poety i beletrysty, p. t. „Zaloty króla jegomości” \*).

Przypomina, choć nie odtwarza. Autor nie pokusił się o roztoczenie szerokiego tła dziejowego, co zresztą nie leżało w jego zamiarze. Opowiedział natomiast żywo, zajmująco i nie bez wdzięku poetyckiego romantyczne przygody króla-bałamuta, który nieraz, zostawiwszy swój majestat na Wawelu, schodził w ciasne ulice krakowskie, kędy mieszczki urodzive stały z ócz swych precudnych niebolesne strzały.

A dodać należy, że przygody takie odpowiadają zarówno charakterowi Olbrachta, którego w podobny, mniej więcej, sposób przedstawił Kaczkowski w „Olbrachtowych rycerzach”, jak i kolorytowi epoki, która nosi na sobie wyraźne piętno wczesnego humanizmu.

Lecz—nie szukajmy tu polityki, bo to tylko powieść „obyczajowa”.

A wtedy „Zaloty króla jegomości” przedstawią nam się, jako miły obra-

\*) Kazimierz Gliński, „Zaloty króla jegomości”, powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1909).

zek rodzajowy, sielanka, której akcja rozgrywa się zdala od burz i przewrotów dziejowych. Ego.

## MĄŻ I KSIĘŻYC.

Z repertuaru „Momusa”.

Kochałem ją, jak tylko  
Bogowie kochać w stanie,  
Była mi w sercu szpilką,  
Kraterem w mym wulkanie!  
Trzy razy się, o mili,  
Księżyc obrócił złoty,  
Zanim dożyłem chwili  
Sam na sam z nią pieścizoty!  
Mieszkania nasze dzieli  
Wąziutki pas podwórza,  
Stawała w oknie w bieli,  
Powabna, gdyby róża!  
Nieraz skinięciem dłoni  
Znak dała pokryjomu,  
Lecz jam się bał pójść do niej,  
Wiedząc, że mąż jest w domu...  
Aż wreszcie kartka mała  
Obawy przewycięża,  
To ona ją pisała:  
— Dziś nie bój się o męża!  
Przebiegłem nieprzytomny,  
Podwórze, schody, sienie...  
Ona... rumieniec skromny...  
Całus i... upojenie...  
Gdym objął już ramieniem  
Jej kibić, kibić węża,  
Sposrzedłem ze zdumieniem  
Kapelusz, laskę męża...  
Drgnąłem, lecz mi okrzykiem  
Przerwała:—Niema strachu!  
Mój mąż jest lunatykiem  
I siedzi tam, na dachu!—  
Odtąd, gdy księżyc stary  
Zajaśniał nam nad głową,  
Piliśmy z szczęścia czary  
W noc każdą księżycową...  
Wdało się wreszcie licho,  
We łzach mi oczy mokną,  
Mąż, jak widziadło, cicho  
Po gźemście wlał przez okno!  
Jej serce bić przestało,  
Mnie strach ubielił lica,  
On rzekł: „Pardon—nieśmiało—  
Zaćmienię dziś księżycal...”

T. MODRZEJEWSKI.

Rozwój prasy  
prowincjonalnej.

Prasa prowincjonalna w Królestwie Polskiem stoi dotychczas na skromnym poziomie. Naszym gazetom prowincjonalnym brak dotąd szerszych horyzontów, a kierownictwo ich nie zawsze jest dosyć umiejętne i sprężyste. To też trzeba z uznaniem podkreślić, iż wychodzący w Sosnowcu *Kurier Zagłębia* od dnia 1 lipca r. b reformuje się

radycznie, powiększa znacznie swój format, reorganizuje swoje siły wewnętrzne i przechodzi pod naczelną kierownictwo p. Jana Ursyna, dotychczasowego członka redakcji *Głosu Warszawskiego*.

Ursyn jest znanym, doświadczonym publicystą i utalentowanym literatem. Wystąpiwszy w roku



Jan Ursyn.

1885 po raz pierwszy, jako nowelista, w *Kurjerze Warszawskim*, przez lat 24 pracuje z umiłowaniem i prawdziwym pożytkiem na niwie piśmiennictwa polskiego. Kilka tomów nowel, liczne barwne wrażenia z podróży po Rosji, Syberii, Chinach, Bałkanach to jego dorobek literacki. Jako publicysta, wyróżnia się przedewszystkiem swoją działalnością w Wilnie, gdzie w roku 1905, zaproszony przez ówczesnego wydawcę, p. H. Korwin-Milewskiego, zorganizował *Kurier Litewski*, który następnie prowadził przez kilka miesięcy, aż, z powodu różnicy w poglądach politycznych z późniejszym redaktorem naczelnym, ustąpić musiał i wtedy otworzył w Wilnie drugi dziennik, do dziś dnia istniejący, mianowicie *Dziennik*, dziś *Goniec Wileński*, a jednocześnie był pierwszym kierownikiem ludowej *Zorzy Wileńskiej*. Z końcem roku 1907 Jan Ursyn powrócił do Warszawy, wezwany tu do współpracownictwa w *Gazecie Polskiej*.

Pomimo przenosin do Sosnowca, Jan Ursyn pozostaje nadal kierownikiem bardzo pożytecznego miesięcznika, p. t. *Patryjotyzm Polski Przemysłowy*, poświęconego sprawom ekonomicznym.

## Zakaz pruski.

Kancelarz Bilow wydał rozporządzenie, zabraniające rozszerzania w Niemczech warszawskiego tygodnika humorystycznego *Muchy* w ciągu lat dwóch.

## CHŁOP-POETA.



Chłop-poeta, Ferd. Kuraś, autor wiersza „W hołdzie Anczycowi”, wygłoszonego na obchodach na cześć Wł. L. Anczyca w Krakowie i Lwowie.

## ŚWIĘTO ANCZYCA WE LWOWIE.



Członkowie teatru i chóru włościan z Zakopanego. 1) Wice-prezes lwowskiego Związku teatrów i chórow włościańskich p. J. Jędlicz-Kapusiński, poeta-opowiadacz podhalański, 2) p. Andrzej Suleja.



LWÓW-KRAKÓW-WARSZAWA.

Rys. St. Bagiński.

Nie ulega wątpliwości, iż w ostatnich czasach spostrzegamy znaczne ożywienie stosunków między Galicyą a Królestwem. Objawem tego są ciągle wycieczki korporacyjne polskie z Galicyi do Warszawy i Królestwa. Do takich wycieczek zaliczyć trzeba i ostatnią, przedsięwziętą przez automobilistów galicyjskich. Spodziewano się u nas liczego bardzo przybycia gości; Koło sportowe warszawskie poczyniło na ich przyjęcie rozległe przygotowania. Spotkał je pewien zawód: tylko pięć samochodów ze Lwowa i Krakowa przez Kielce przybyło w poniedziałek wieczorem do Warszawy. Wycieczka ta wzbudziła wielkie zainteresowanie w szerokich kołach mieszkańców naszego miasta.

— Żeby czytał historię z najgorszym uprzedzeniem, nie wynajdzie w naszych wspólnych dziejach ani jednej waśni plemiennej, ani jednej wskazówki, że zobowiązania nasze były zgubne dla rozwoju jednego z dwóch narodów.

Miłaknis patetycznym, niemal pogardliwym gestem odciął się od współnictwa z historią:

— Zaczyna się dzisiaj nowa historia. Dawną robiła szlachta, nową zrobi lud—i każdy na swój ład.

— A czy pan ludowi chce odbierać jego siły i środki kulturalne, prowadząc go do świetniejszej przyszłości?

— Dlaczego odbierać? Wzmocnić trzeba siły ludu.

— A jednak, o ile rozumiem, chce go pan pozbawić najpotężniejszych jego wiekowych dorobków: polskiego przymierza i polskiego języka. Przecie każdy z was, który tylko przekracza pierwszy szczebel rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, chwytą się polszczyzny, jako doskonalszego i swojskiego narzędzia.

— Kto chce, ten i chwytą—wtrącił niechętnie Miłaknis.

— A tak! tuśmy stanęli na gruncie realnym: kto chce. Trzeba zapytać ludu i wszystkich mieszkańców Litwy, czego chcą. Ale zapytać nie podstępnie, nie wmawiać nic, lecz objaśnić bezstronnie i zapytać.

— My nie potrzebujemy pytać—rzekł Miłaknis ponuro—my sami z ludu i wiemy, czego lud chce. A jeżeli nie chce jeszcze dzisiaj, to potrafimy go uświadomić bez obcej pomocy.

— To jest właśnie agitacja, przeciwko której pan powstawał, tylko agitacja przeciwna, na korzyść litewskości.

— Osobliwe pojęcie: agitacja litewska w Litwie!

— Więc ją nazwijmy inaczej, agitacją antypolską, mojem zdaniem, nie uprawnioną i nie patriotyczną. Jest to obalanie pozytywnych gmachów krajowych dla rozszerzenia widoku chałupom.

— Widzi pan: zawsze u was, co polskie, to pałac, a co litewskie, to chałupa.

— Bo tak tu jest, panie Miłaknis! Cóż ja na to poradzę?

— To pan nie przeszkadzaj budowaniu litewskich pałaców.

— Nie tylko nie przeszkadzam, ale popierałbym rozwój kultury czysto-litewskiej, gdybym mieszkał w tym kraju. Tylko bez uszczerbku dla polskiej. Obie są tu równoprawnione, obie u siebie. Która przemoże, ta będzie panowała w przyszłości z nieprzymuszonej woli mieszkańców Litwy.

— Tak nie można...—mruknął Miłaknis, ścigając czoło w uparte zmarszczki.

Zastygł z tym wyrazem twarzy i zamilkł, wpatrując się w Rokszyckiego, jakby chciał wynaleźć przyczepkę do tego groźnego przyjaciela. Znalazł nareszcie:

— A mnie można zapytać u pana, dlaczego Polacy z nad Wisły dyktują nam wciąż, jak my powinni rozwijać się u siebie?

— Dyktować nawetby nie mogli, gdyby chcieli; ale że radzą, to przecie naturalne. Jesteśmy tak ściśle spokrewnieni przez historię, politykę, nawet rasę...

— A toż skąd? przecie my nawet nie Słowianie.

— I o tem dałoby się dużo powiedzieć. Odwieczne mieszanie się obu ras, niegdyś przez niewolnictwo podczas wojen, potem przez ciągłą dobrowolną emigrację, sprawiło, że jesteśmy bardzo zbliżeni do siebie rasą i obyczajem. A zresztą, rasa przedhistoryczna nie stanowi wcale o konieczności łączenia się narodów; zadawniona sympatya, pokrewieństwa dążeń są spójnią dużo silniejszą. Dlaczegoż, na przykład, Litwini nie połączyli się nigdy z Łotyszami, pomimo pokrewieństwa szczepów?

— No, tu już i religia inna...

— Od szesnastego wieku. Ale był czas i przedtem. Litwini mieli do wyboru najprzód przymierze, potem wyznanie chrześcijańskie. Dlaczegoż przyjęli jedno i drugie od Polaków, nie zaś od innych sąsiadów? Unia nasza okazała się już koniecznością instynktową i dziejową.

— Tak sobie wyrozumowała przed wiekami szlachta, teraz nasz lud myśli inaczej: chce być sobą—powtórzył uparty Litwin.

— Skoro chce, my mu nie przeszkodzimy. Ale przeszkodzą inni, panie Miłaknis. Za mało was takich, którzy chcą być sobą. Nie pozostaniecie w spokoju na karcie geograficznej.

— Ot, zobaczymy.

— My nie zobaczymy, lecz zobaczą nasze prawniki. Od tego właśnie jest historia, żeby z niej brać przykłady pracy na przyszłość.

Zamilkli na chwilę, przebiegli przez ciemne kurytarze myśli, niepewne, aż znowu powrócili na światło. Odezwał się Miłaknis:

— Ludy się budzą. Ludy dadzą jedne drugim żyć obok siebie.

— Czy pan sądzi, że ludy przyszłości będą zupełnie odmienne od dzisiejszych rządów?

— Niewątpliwie.

— Ale, gdyby zawiodła ta nadzieja, gdyby rządy były odmienne, lecz narody równie żarłoczne, co się stanie z plemionami małymi i odosobnionymi?

— Ja wierzę w tryumf sprawiedliwości.

— Niech pan ją stosuje i do dnia dzisiejszego; lepszych przyjaciół, niż Polacy, nie mieli nigdy Litwini.

— Jaż nie jestem w zasadzie nieprzyjacielem Polaków. Ot, z panem doszlibyśmy może do zgody, ale są tu, chociażby w Wilnie, tacy, że nie daj Boże!

Rokszycki nie chciał się wdawać w krytykę osobistości, ani grup politycznych polskich. Inaczej więc skierował rozmowę:

— A czy panowie w swym obozie litewskim jesteście zupełnie jednomyślni?

— I u nas są tacy, którzy psują sprawę ludu.

— Wasi księża nacyonaliści?

— A już oni—otrząsnął się Miłaknis pogardliwie.—Mnie pan z nimi nie zobaczysz.

— Tak — odrzekł Kazimierz, mierząc i licząc wyrazy—ci ścignęli na siebie narzekania. Nie zawsze okazali się poprawnymi obywatelami kraju. Ale zdziwiła mnie i w innych, świeckich, obojętność, jeżeli nie wstręt do polszczyzny, a natomiast ugodowość z rządem.

— Cóż? rząd od czasu zniesienia zakazu druków litewskich zostawia nas, Litwinów, w spokoju...

— Zdawało mi się jednak, że panu nie chodzi o utrzymanie istniejącego... spokoju?

Miłaknis pomyślał trochę nad odpowiedzią, poczem rzekł, błysnąwszy oczyma gorąco:

— To, czego my chcemy, prędzej pocznij się w Rosyi, niż nad Wisłą, a już z pewnością nie między Polakami u nas.

Kazimierz powracał przez Zielony most, Mostową, plac Katedralny i skierował się ku głównej Poczcie. Od chat i dworców przechodził do dzielnic miejskich okazałych. Spotkał wprawdzie po drodze parę szyldów litewskich, które mu przypominały świeżą rozmowę. Ale ruch narodowo-litewski prawie tyle tylko zabierał tu miejsca pod słońcem, ile parę napisów na powodzi murów, gadających o innym życiu. Życie starego grodu podobne było do parku przyciętego, który zielenił się bujnymi odroślami na przekorę nowym ogrodnikom. Wielki trzon gmachu Uniwersytetu, rozległe portyki pałacu biskupiego ubierały przyległy plac w powagę historyczną, wymowną, pomimo koszarowego pokostu, pomimo tkwiącej na tym placu śpiżowej apoteozy wrogiego niszczenia.

Kazimierz zaszedł na pocztę i zapytał, czy niema tam listu dla niego, gdyż w hotelu nic nie otrzymał z Rarogów. I tu nic nie było. Poszarzało mu Wilno pod wpływem wrażeń bieżącego dnia, zachmurzonego i na niebie, i w perspektywach ideowych. Ale nie zwykł był poddawać się wpływom atmosfery, doradom nerwów; przeciwnie i opieszalności losu spotykały w nim dzielną gotowość do walki. Tyle jeszcze życia miał przed sobą...

## XVI.

Po paru jeszcze dniach pobytu w Wilnie Kazimierz postanowił niezwłocznie wyjechać do Warszawy; miał do tego kilka pobudek. Najprzód osobiste: listu od Krystyny nie otrzymał, musiała więc napisać pod drugi umówiony adres, do Warszawy. Wilno bardzo go zajęło i pociągało pod każdym



Sięgnął żywo do kieszeni surduta i dobył z niej kobiecą fotografię.

KONSTANTY GORSKI

względem, ale zajęcia jego praktyczne były już na ten raz ukończone, a inne, pilniejsze oczekiwały go w Królestwie. Do śpiesznego wyjazdu skłaniał go także prawdziwy kłopot z wujem.

Pan Apolinary wyzdrowiał wprawdzie odrazu, na drugi dzień, ale właśnie powrót do zdrowia przedstawiał teraz pewne niebezpieczeństwa. Jego miłość własna głośnego polityka została zawstydzona i parła go działaniami gorączkowymi. I wstyd może być pobudką zwrotów w polityce. Okoliczność, że zachorował po kolacji, objaśnił już znajomym dostatecznie: gdy powrócił do domu, zastał żalosne wieści z Warszawy o rozłamie w łonie swego stronnictwa. Serce mu się ścisnęło od klęsk publicznych. Przy komplikacji zmęczenia podróżą i lekkiego podniecenia winem, serce ścisnęło się tym razem gwałtowniej, no i... mogło być źle, do brodzieju mój. Ale silna konstytucja i dobra krew wybawiły go. Innym powodem wzmożonego popędu do działań był dla Budziszatena, że go Kazimierz wyprzedzał ciągle w poznawaniu Litwy i jej potrzeb. Gdziekolwiek ruszą się razem, czy w Wiszunach, czy w Rarogach, czy w Wilnie, Kazimierz sprząta mu z przed nosa to efekt oratorski, to pomysł, to znajomość pożyteczną. A przecie on, Budzisz, jest zawodowym działaczem,

a Kazik czem?—najlepszym chłopcem, ale młodzieniaszką i kandydatem na przemysłowca. Obca była panu Apolinaremu zawiść—i to jeszcze względem syna pana Jana!—ale obawiał się, aby Kazimierz w sprawach publicznych nie pobłądził...

Taką samą obawę co do działań wuja zaczynał mieć Rokszycki. Wuj bowiem od chwili wyzdrowienia miewał długie konszachty z Tytusem Pasterkowskim i z innymi, także z redakcjami dzienników. Ukazał się w jednym z nich krótki i lapidarny artykuł, podpisany „Bu”, o potrzebie stworzenia „związku obrony języka polskiego” w przeciwstawieniu do litewskiej „Sajunga”. Pan Apolinary przepadał często bez oznajmienia Kazimierzowi, dokąd idzie. Wreszcie pożyczyl od Kazimierza pieniądze i chodził z kwiatkiem, zatkniętym w klapę surduta.

Te wszystkie spostrzeżenia przyprowadziły Rokszyckiego do wniosku, że albo należy wywieźć stąd wuja czem prędzej, albo, jeżeli się nie zgodzi, samemu wyjechać.

— Jutrzejszym kurjerem wyjeżdżam do Warszawy—oświadczył stanowczo.—Mam nadzieję, że wuj także, bo przecie tam muszą na niego czekać, skoro są ważne zawikłania w komitecie?

— Otóż to! rozdrzećby się trzeba na

kawałki, żeby wszystkiemu podołać. I tu rozpocząłem niejedno...

— Jak wuj chce. Ja muszę wracać.

— Poczekaj... może tak za trzy dni, to byśmy się zabrali razem?

— Niepodobieństwo.

Pan Apolinary zamyślił się chwilę nad szerokim krajem, który go powołuje i tu, i tam... Potem rzekł, jak przez sen, niby odruchowo, nie patrząc Kazimierzowi w oczy:

— Możesz mi pożyczyć jeszcze sto rubli? Dam ci czek na Warszawę.

— Nie mam już, wuju. Zaledwie mi wystarczy na hotel i podróż.

Znowu zamyślił się pan Apolinary i odezwał się głosem rzewniejszym:

— Zostań do pojutra przynajmniej, to pojedziemy razem.

— Do pojutra—zgoda. Ale bez zawodu, wuju?

— *Verbum.*

Jakoż wagon, wychodzący z Wilna do Warszawy, na trzeci dzień po tej rozmowie mieścił w jednym ze swych przedziałów obu koronarzy, obu tęsknie zapatrzonych przez okno na uciekające w dal piękne wzgórza wileńskie, na okolice faliste, rozrzucone zielenością, z przebłyskami bogatych siedzib pańskich i romantycznych dworków. Aż z na-



głym łoskotem padł mrok na oczy podróżnych: tunel.

Po wynurzeniu się na światło rzekł pan Apolinary głosem proroczym:

— Wiele jest do uporządkowania w tym kraju. Potrzeba, abym tu powrócił.

Kazimierz nie odpowiedział, nasunął czapkę na oczy i zamknął je, lokując głowę energicznie w kącie wagonu.

— Cóż? spać będziesz? ledwieśmy wstali.

Roksycki coś odmrugnał, przechylił się znowu do okna i patrzył przez szybę, milcząc.

— Powrócę tu—rzekł znowu Budzisz— dla sprawdzenia, jak kiełkują niektóre ziarna... No i wygłosić muszę mój odczyt; późniejszą jesienią więcej osób napłynie do Wilna. Jak myślisz?

— Zapewne—odpowiedział Kazimierz przez zęby.

— Jakoś mi wyglądasz zafrasowany, Kaziu? nie udało ci się coś w Wilnie?

— Nie miałem tam nic do wykonania na teraz. Nawiązałem różne stosunki z ludźmi; zobaczę, jak mi się udadzą.

— Nawiązałem i ja bardzo liczne—tylko, oczywiście, z szerszym planem... Nie masz pojęcia, Kaziu, jakiej pasji nabrać można do polityki! Uprawiasz jedno pole, drugie cię korci, że leży odłogiem, albo źle uprawne. Życia nie starczy! Co do sporu polsko-litewskiego mam już plan uśmierzenia. W ostatnich dniach poznałem cały prawie obóz nieprzyjacielski. Znasz ty braci X?

— Jednego z nich.

— A ja obu. A znasz adwokata Y?

— Wiem, ale nie znam.

— A księdza Z?

— Nie znam.

Budzisz zasypał Roksyckiego litaniami nazwisk działaczy litewskich, potem polskich, z najróżniejszych sfer i obozów.

— I tych wszystkich poznał wuj przez cztery dni ostatnie?

— Pomagano mi, zapraszano dla mnie, grupowano.

— Cóż wujowi po tylu znajomościach?

— Jakto co? Sam przecie mówiłeś, że najgorzej walczyć, nie znając przeciwnika. Ja dodam: trzeba i swoje wojsko uformować, zanim się je rzuci do walki.

— Co też wuj ma za wojowniczą naturę? Wszędzie zaraz walka!

— Takim się już urodziłem, mój kochanku... albo stałem się takim z biegiem czasu.

Pan Apolinary uśmiechał się do postawy, którą przybrał. Wtem się zadziwił zdaniem Kazimierza:

— Lepiej pracować w swoim kierunku, niż zwalczać pracę cudzą, choćby nieprzyjemną. Konkurs pracy—to najwyższe zadanie.

Budzisz aż się zachłysnął:

— Skądże to takie wysokie poglądy?

— Mówię, co myślę.

— A jeżeli cudza praca jest wręcz przeciwna mojej?

— To ją przeprzeć siłą i wytrwałością, nie obelgami i krzykiem.

Budzisz ledwie się nie obraził; wołał jednak otulić się w powagę swego doświadczenia.

— Gdybyś chciał działać na Litwie, Kaziu, lepiej zawsze poradź się mnie, albo, w mojej nieobecności, choćby Pasterkowskiego.

— Pasterkowskiego—nie, w każdym razie. Zresztą ja nie mam zamiaru działać; może będę kiedyś tu pracował...

Pan Apolinary pośpieszył odrzucić rozmowę teoretyczną, coraz cięższą z Kazimierzem, i przejść do spraw osobistych:

— Więc przewidujesz, że tu powrócisz? Może na stały pobyt? Namysliłeś się co do projektów, rozpoczętych w Wiszunach? W ostatnich dniach tak byłem rozerwany, że nie poruszyłem z tobą tej ważnej kwestii.

— Ach, o tem wcale nie myślałem—ziewnął Kazimierz.

Pan Apolinary wniósł z ziewnięcia, że chwila niestosowna, bo Kazimierz jest dzisiaj wyraźnie nadąsany. Chciał go jednak koniecznie rozruszać i rozweselić, gdyż nie po to przyśpieszał swą podróż do Warszawy, aby mieć nudnego kompana.

— Zawsze jednak nasza pierwsza wycieczka na Litwę udała się. Poznało się dużo, tu i ówdzie wskazało się właściwy kierunek... A ile wrażeń rozmaitych! W każdym miejscu inne. *Summa summarum* bawiliśmy się doskonale.

Uśmiechał się przez chwilę do wspomnień, spojrzawszy parę razy to w okno, to na Kazimierza, aż sięgnął żywo do kieszeni surduta i dobył z niej kobietą fotografię.

— Patrz—

— Ach to ta... Mitzi! W jakimże kostiumie?

— Ofelii—rzekł pan Apolinary z namaszczeniem.

— Grywała i w teatrze?

— Grywała, ale ją wygryźli, bo za piękna. Intrygi koleżeńskie—rozumiesz?

Kazimierz uśmiechnął się weselej:

— To wuj ją widywał jeszcze?

— Musiałem... tak dla konsekwencji.

Nie mówiłem ci, bo z ciebie zrobił się już taki sensat... No, bardzo pięknie. Wiesz? przyjedzie za tydzień do Warszawy.

— Ależ, wuju! Gdyby się wykryło, że takie znajomości porobiliśmy w Wilnie?!

— Nie bój się; powraca przez Warszawę do Wiednia. Zresztą osoba dyskretna—wypróbowałem ją. My tylko o tem naturalnie—ani dudu!

— Na to liczyć można bardziej, niż na dyskrecję panny Mitzi.

— Zobaczysz, nic się nie wykryje. Zresztą cóż? niewinny wypoczynek wśród działań poważnych—rzekł pan Apolinary, chwytając starannie fotografię Mitzi między karty broszury politycznej, którą miał w kieszeni.

— Nie tylko o tym drobiazgu—mówił dalej uroczyście—wogóle o wynikach naszej wycieczki, o planach przyszłości nie byle komu należy opowiadać. Naucz się tego, Kaziu.—

Rozpostarł dłonie, jak dyrektor orkiestry, gdy nakazuje przyciszenie.

(DCN)

MARYA RODZIEWICZÓWNA:

## KOLEGA SZOLL.

2)

Ale dziecko stało zadumane, rozważające i rzekło:

— Zobaczy pan pana Szolla?

— Albo co?

— Pan powie, że ja do ochronki już chodzę od jesieni i niech mu pan da od Zuzi...

Tu mu podała wielką, miedzianą dziesiątkę.

— Skąd masz?—spytała majstrowa.

— Pani dała—na cukierki.

Czeladnik machinalnie monetę wziął i do kieszeni wsunął. Dziecko wyszło.

— Ot, głupi bąk—rzekł Radyński.

— A jaka pamiętliwa. Półtora roku, a nie zapomniała Szolla.

— Państwo dzieci swoich nie mają?—spytała Niekrasz.

— Były, ale poszły! Czworo, piechota na Bródno!—rzekł Radyński.

— Nie obrażaj Pana Boga, Stefan!—upomniała żona.

— A ot i on przez okno zaziera!—rzekł wyplatacz.

Podnieśli wszyscy mimowoli oczy, bo cień przestonił szybę. Stary człek z długą, siwą brodą zaglądał w okienko, a gdy Radyński chciał je otworzyć, ruchem wskazał, że idzie do nich, i po chwili wszedł do izby.

— Niech będzie pochwalony!—pозdrowił.

— Na wieki!—odpowiedzieli, z wyjątkiem Niekrasza.

Stary usiadł na krześle i rzekł:

— Cóż tu u państwa słychać? Przechodziłem, myślę, wstąpię!

— At, co słychać? Na forant robię, żeby heble nie rdzewiały. Sprzedałem szafy, to zrobię parę komód.

— A ten pan dziś się zgłosił z rekomendacją Szolla; wiecie, ojczu, że nie żadna bieda go spotkała, ale gdzieś przy kolei robi—dorzuciła Radyńska.

Stary popatrzał bystro, z pod krzaczastych brwi na czeladnika.

— A pan skąd wie?



Mróz go wnet objął i nieznośny kurcz czezości

ST. BAGIEŃSKI



Obdartus począł się śmiać.

ST. BAGIEŃSKI

— Z Łodzi razem wyjechaliśmy. On do Białegostoku śpieszył, tu mi adres dał.

— Nie wstąpił. No no! Mnie mówili, że pokutuje za innych w więzieniu.

Niekrasz ramionami ruszył i heblował pilnie.

Stary, oczu z niego nie spuszczać, rzekł po chwili:

— Bo to i natura u niego nie taka, żeby się tyle czasu nie odezwał do swoich. Ale, jak pan z nim jechał, to wierzyć trzeba.

— Dobrze, że go robactwo w turmie nie zre—mruknął wyplatacz.

— Masz robotę, Adolf. Lżej ci! — rzekł stary.

— Hale, ma na szkło! — warknęła siostra.

Wyplatacz nisko głowę spuścił i milczał. Czuł na sobie przejmujący wzrok starego i po chwili podniósł oczy zaczerwienione, mgławce, posępne.

Nic sobie nie rzekli słowem.

— Zuzia w ochronie? — spytał stary Radyńskiej.

— Codzień posyłam, a jakże.

— A ja tu parę groszy przyniosłem dla Wilgockiej. Jedni państwo mi dali; wyjął w szmatkę związane i podał majstrowej.

— A, przyjdzie wieczorem, to oddam.

Kaktus, jak tylko stary wszedł, skoczył mu na kolana, skomląc radośnie, łasił się, a potem do snu się ulokował pod jego głaszczącą ręką. Teraz go stary na rękach przeniósł na kanapkę i począł się żegnać.

— Przyjdiesz wieczorem! — rzekł do Adolfa. A od progu jeszcze się na Niekrasza obejrzał i dodał: — A kiedy pan Szolla kolega, to musi być porządny człowiek. Bez chleba pan już między nami nie będzie.

Po jego wyjściu długie panowało milczenie.

— Kto to taki? — spytał wreszcie Niekrasz.

— Duchas, tokarz z Leszna. Szoll nie mówił panu o nim?

— Mówił, jakże!

— Ile dał dla Wilgockiej? — spytał Radyński.

— Jedenaście złotych. Gada to o jakichś państwach, a pewnie swoje dał.

— To się rozumie. Ma stary grosz.

— Chce mu się jeszcze robić i w suterenie siedzieć. Mógłby od frontu mieszkać i z boku na bok się obracać.

— Kiepski waryat! — zaśmiał się Niekrasz.

Ale mu nikt nie zawtórował, tylko Radyńska rzekła z przekąsem:

— W Łodzi takich niema.

Niekrasz oczami złowieszco błysnął, ale nic nie rzekł. Od pół roku zarobku nie miał, głodem marł. Miał teraz stracić robotę, żeby babie ozór przyciąć?

Heblował pilnie do obiadu. Gdy tamci zasiedli do jada, wyszedł na chwilę na ulicę, a wróciwszy, wody się napił, jakby po dobrym posiłku. Wytrwał u warsztatu

do wieczora, wahając się, nie śmiejąc wspomnieć o zapłacie dziennej i rozmyślając, od kogo pożyczyc parę złotych.

Głód budził w nim ponure, krwawe myśli.

Ale, gdy o ósmej złożył narzędzia i zabierał się do odejścia, Radyński coś poszeptał z żoną i rzekł:

— Pół rubla dam z góry. Robota dziś szła dobrze. Możesz pan jutro przyjść.

Niekrasz coś mruknął i wyszedł.

Mróż go wnet objął i nieznośny kurcz czczości. Wstąpił do piwiarni, wypił dwa kufle, przegryzł kiełbasę. Zrobiło mu się raźniej. Ruszył do domu. Właściwie domu nie miał, ale w ostateczności nie może go ojciec wypędzić z sutereny, gdzie mieszka macocha i pięcioro przyrodniego rodzeństwa. Stary był posługaczem przy rzeźni, macocha — praczką; oboje przyjmowali go gradem wymyślań; zdarzały się bójkę, w których uledez musiał, bo i dzieci dopomagały rodzicom. Bywał więc tam tylko, gdy nigdzie kąta przed mrozem znaleźć nie potrafił. Nie kwapił się tam dzisiaj, ale za mostem skręcił nad Wisłą i wszedł do jakiejś traktyerni.

Rozejrzał się po tak zwanej sali, a wnet z kąta jakiś obdartus nań gwizdnął.

Usiedli obok siebie.

— No i co? Udało się? — tamten spytał.

— Jak z nut.

— No, to postaw szkło. A harmonia moja!

— Twoja. Ale gadaj mi teraz dokumentnie o tym Szollu, bo się zasypię!

Obdartus począł się śmiać.

— Żebym to ja tam się dostał, tobym im dopiero gitarę skręcił, ale już mnie juchy znają! Szolla znam od małego. Starzy mieszkali obok. Mój szwec był, a jego robociarz. Razem nas wpakowali do terminu do stolarza, alem plunął na to świństwo i do roznoszenia gazet się wziąłem. Szoll został. Taki był jucha twardy i uparty. Tłukli go, szturchali, poniewierali, głodzili, on nic, przypiął się, jak kleszcz, do warsztatu. Łeb to był, że można nim było kamienie tłuc. A to raz zastaję w kamienicy chryję. Starego Szolla maszyna zabiła. A u nich tam było czworo bąków i kobieta chora. No — wywieźli umarlaka, zachodzę do nich, mówię: trza fabrykę procesować, a tu siedzi ten stary Duchas, i nuż gadać, jak klecha w kościele, że to Bóg nad sierotami, że to byle statek i praca, to i bieda ucieknie,

a oni, durnie, wszystkie chlipią i wierzą! Plunąłem i poszedłem. Nie żaden tam Pan Bóg, ale Duchas ich w opiekę wziął, a Szoll, jak wołem był, tak i został. A to jeszcze takie durnie to szczęście mają, że na gorszych od siebie trafiają, bo fabryka z dobrej woli pięćset blatów im zapłaciła.

Myślisz, że Szoll choć surdut sobie sprawił, albo kolegom postawił piwa z tej okazji? Akurat. A pożyczyc to komu złotówkę? — Na posagi dla sióstr będzie — powiada.

Hrabianki! Zhardziało to, nadeło się, le-dwie patrzy na sąsiadów, edukacyi potrzebuje, na lekcyce chodzi, a starą na lato na wieś wywożą — na wody, na kuracyę!

Jedni się obrazili, ogadywali drudzy, alem ja zwąchał, że z głupiego zawsze pociągnąć można. Jedna z dziewczyn gębę miała urodziwą, choć jeszcze bąk był niedorosły. Wstępowałem wieczorami, to świętem, basowałem im, przytwierdzałem, co nie co przyniosłem, to gazetę, to jabłęk.

I tak trwało, aż dziewczeczka dorosła. Wtedy uderzyłem w konkury. Dali mi ją i sto pięćdziesiąt fajgli w łapę. Przystałem do spółki z Rubinem, i w Grodzisku założyliśmy piwiarnię, z bilardem i z muzyką, kokosowyby był interes, gdyby nie Wikta, niby moja żona.

Jak jej wyłożyłem, że dla gości ma grzeczną być, usłużna, tak podniosła wrzask, sprąłem ją, uciekła do familii. Nie bardzom gonił, bo i pieniądze, i przyodziewek, i pierzyny mi zostały, a i oni znaku życia nie dawali. Ale interes się popsuł. Rubin drapnął jucha, zostałem na lufcie. Wtedy poszedłem po Wikte. A u Szollów tymczasem stara zmarła, dwie dziewczyny za mąż poszły, chłopak najmłodszy aż w Galicyi był, w szkole. Ten nasz Szoll Antek mieszkał tam i Wikta z nim.

Widzę, że im się dobrze dzieje, można się będzie pożywić. Zachodziłem po Wikte co parę dni i zawszem dostał parę złotych, a i rubla czasem. Potem zaczęli się stawiać, tom zaczął grozić; dawali, byle ich w spokoju zostawić.

Aż raz Rubin się odnalazł, powiada: — Dam ci sto rubli za Wikte, a potem założymy znowu interes.

Namówiłem kobietę na spacer, że to niby chcę sklepik założyć spożywczy, żeby przysza obejrzeć. No — wstąpiliśmy na piwo, wyspałem proszek, samą wsadziłem w dorożkę, zdałem Żydowi! Co? Mogę znać Szolla! szwagier jestem!

— I nic za to nie miałeś? — spytał Niekrasz, któremu, pomimo wielkiego zahartowania, a raczej nieczułości na występki, zrobiło się straszno.

— Od kogo? Szoll przyszedł i skamlał tylko, obiecywał setki, byle powiedzieć, gdzie siostra. Duchas groził mi sądem Bożym i karą niebieską. Skląłem ich i przegnałem. Nikomu nic do mnie. Mąż jestem, do żony ja jeden prawo mam, przed nikim się nie mam tłumaczyć, gdzie jest! Ale mi obrzydli szczekaniem, więc wyjechałem na parę lat do Łodzi.

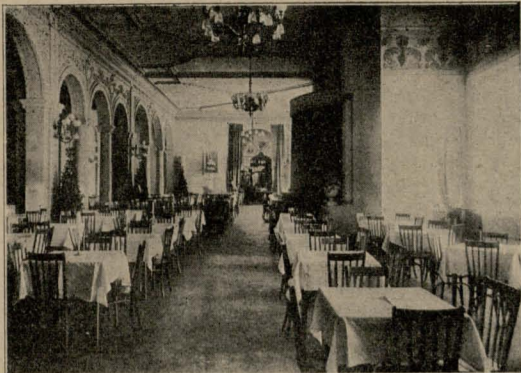
— No, a Szoll gdzie siedzi teraz? Nie zjawi się lada dzień?

Tamten się roześmiał tylko.

— Nie. Mocno siedzi. Jakem go w Łodzi spotkał, myślę: gotów mi tę starą chryję odgrzebać. Więc postarałem się, że go wzięli do ła, na sam spód. Bądź spokojny, nieprędko wylezie, jeśli wylezie. Dobrze go oplątałyśmy.

(DN)

# DOLINA SZWAJCARSKA.

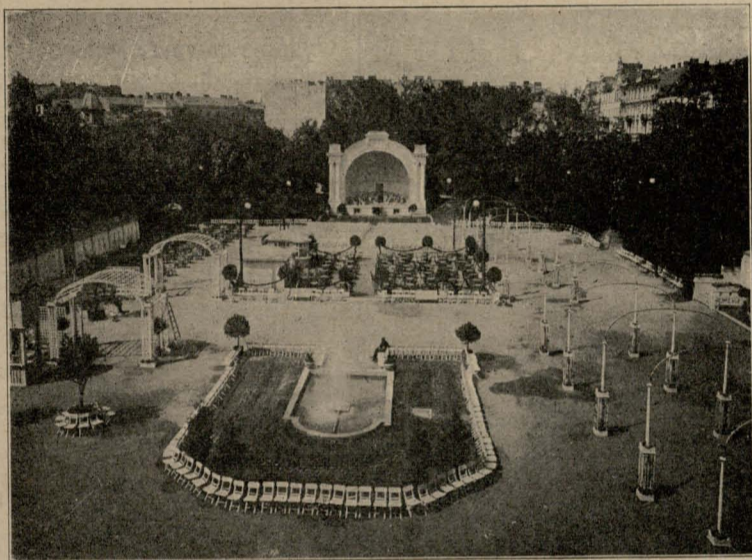


Sala, w której odbywają się urozmaicone i ponętne przedstawienia drużyny „Chochlika”.

Najpiękniejszym, najestetyczniej urządzone i najbardziej odpowiednim do zebrań wykwintnej sfery publiczności warszawskiej jest bezspornie w dzisiejszej swojej postaci Dolina Szwajcarska.

Ruchliwi i energiczni przedsiębiorcy nie szczędzili trudów około wprowadzenia kosztownych zmian, pod których wpływem Dolina nabrała cech zakładu pierwszorzędnego, godnego wielkiego miasta.

Zmieniono tu i odmłodzono wszystko, bez wyjątku. Obszerny teren ogrodowy, w porze wieczornej zalany potokami światła elektrycznego,



Sztuka ogrodnicza i wiedza elektrotechniczna na terenie Doliny Szwajcarskiej wytworzyły czarodziejskie zmiany.

przedstawia się czarująco. Galerye spacerowe, ozdobione łukami lampek, fontanna świetlna, oraz bogata i niezmiernie efektowna dekoracja iluminacyjna kawiarni dolnej i górnej, obszerna i piękna werenda restauracyjna, wszędzie mnóstwo zieleni, oto część całości, która olśniewa wzrok widza.

To Dolinie nadało znaczenie zakładu, przypominającego najcenniejsze tego rodzaju ogrody koncertowe w stolicach zagranicznych. Na estradzie przygrywa znakomicie zgrana orkiestra Filharmonii Praskiej (Czeskiej) pod dyrekcją d-ra Zemanka. W antrakcie na werandzie przygrywa sekstet. Po koncercie, w prześlicznie urządzonej sali greckiej, zawsze pomysłowa i dowcipna drużyna „Chochlika”, wygłasza utwory, których treść wznawia świetne tradycje humoru polskiego. W sali zaś koncertowej urządzono najnowszy kinematograf „Fata-Morgana”, w którym wprowadzono udoskonalenia.

Niemniej jest ważne, iż zarząd, ująwszy w swoje ręce kierownictwo restauracją, kawiarnią, mleczarnią, oraz bufetami, ściśle stosuje gospodarstwo do wymagań smaku, zdrowia oraz kieszeni gości. Wszystkie te względy, razem wzięte, sprawiają, iż koncerty, zabawy i kabaret Doliny, stanowią magnes, przyciągający najszersze warstwy publiczności, która względy komfortu i estetyki zwykła łączyć z dobrym tonem zabaw muzycznych i zebrań towarzyskich.



Kiosk firmy piwarskiej „E. Reych Synowie”, w którym urządzony jest bufet i wydawane wyborowe piwo tej firmy. Dekoracją i przebudową terenu kierowali architekci, pp. Kalinowski i Przybylski.

NADESŁANE.

## Wody mineralne naturalne

świeżego czerpania nadeszły i takowe poleca

## E. Filleborn Apteka

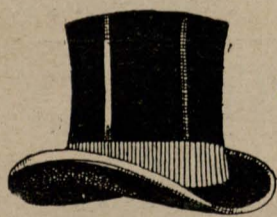
Marszałkowska 87  
róg Wspólnej  
Telefon 14-79.

SKŁAD FABRYCZNY  
MEBLI GIĘTYCH

## BRACI THONET

Warszawa, TELEFON 20-29  
Marszałkowska 141

KOMPLETNE URZĄDZENIA APARTAMENTÓW, WILL, TEATRÓW, zakładów gastronomicznych, klubów, etc. Wielki wybór GOTOWYGH SALONÓW, JADALNI, SYPIALNI i t. p. na składzie.



### ZDZISŁAW ZDANOWICZ

W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA I. 3.

poleca nowości na każdy sezon

## KAPELUSZE-CYLINDRY

## Sergo KALODONT

Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.

Żądać wszędzie



**IDEALNY POKARM**  
dla niemowląt i dla dorosłych,  
dotkniętych chorobą żołądka.

**PARFUM DE LUX**  
**REVE CHERI**  
ROYAL ORCHIDIA, ROYAL BOUVDIA  
F. PROCHASKA PRAGUE.

**ZDROWIE** niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w o.prawie rub. 1.20.

**MAGAZYN KRAWIECKI**  
**SZWAŁBE SACHISKA**  
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY  
GOTOWE i NA OBSTALUNEK  
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku, **G. G. LARDELLI** Czekoladę **Mleczną-Unique**, **Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.  
Boduena 5. Nowy-Swiat 27.

**K** SIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO  
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,  
p.zeszła na własność  
GEBETHNERA i WOLFFA

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

## ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

*Pani Zenobii.* Idealnej farby do włosów jeszcze nie wynaleziono, każda ma jakieś wady; należy więc wybrać taką, która ma ich najmniej. Pani, jako ciemna szatynka, ma łatwiejsze zadanie, gdyż płyn, zwany *Henoline*, barwi na ciemno znakomicie; należy się jednak ściśle stosować do przepisu, dołączonego do flakonu. Zapewne dostać można wszędzie, najprawdopodobniej u Paszkowskiego, gdyż tam zwykle są na składzie wszystkie nowości w zakresie kosmetyki.

*Młodej matce.* Borno-tymolowe mydło nie powinno źle wpływać na wrażliwą skórę małej córki pani; muszą to być inne przyczyny, najpewniej wewnętrznej natury. Dla pewności jednak radzimy używać do tego celu  *płynnego mydła glicerynowego Karpińskiego*. Jeżeli po użyciu tego najłagodniejszego z mydeł jeszcze objawy, o których pani wspomina, nie ustąpiły, pozostanie jedyny sposób: udać się do doktora chorób wewnętrznych.

*Protektorce przemysłu krajowego.* Przyklasnąć należy zasadom szanownej pani i, jakkolwiek na polu kosmetyki Francuzi, jak dotąd, trzymają berło pierwszeństwa, niektóre wszakże naszego wyroby mogą być z korzyścią używane. Do tych zaliczyć należy puder, zwany *Delicia*, wyrobu Centralnego Laboratorium Chemicznego, który odpowiada wszystkim warunkom: doskonale przystaje do skóry, jest niedostrzegalny, a co najważniejsza, zupełnie nieszkodliwy.

*P. Stanisławie. Paszkowski,* Marszałkowska 109, *Abarid*, Perfumerya *Perfection*, Szpitalna 10.

*Niezadowolonej.* Jeżeli zawartość jednego słoika nie pomogła, należy powtórzyć, tem bardziej, że pani użyła dotąd jedną dozę numeru pierwszego. *Lanol Klimeckiego* ma trzy numery, stopniowo silniejsze, po użyciu wszystkich 3-ch najporczywsze piegi ustąpić muszą.

*Wdzięcznej K. Z.* Radzimy zawsze tylko te środki, których własności jesteśmy pewni. Chcemy, aby rady nasze zyskały uznanie powszechne. Na wygładzenie cery i zmarszczki *Abarid* jest środkiem niezawodnym i niczem nie zastąpionym. Stosować według przepisu.

Mercedes.

WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA  
W WARSZAWIEL. BRUNER i  
S. TOŁŁOCZKO**CHEMIA ORGANICZNA**

Z 26 rycinami w tekście. Cena w opr. 1.80

**CHEMIA NIEORGANICZNA**Z 77 rycinami w tekście i tablicą widmową.  
Wyd. 3-cie poprawione i uzupełnione przewodnikiem do doświadczeń. Cena w opr. 1.80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23  
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

PASTILLES

DE

**TAMAR  
INDIEN  
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający

PRZECIW

**OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

Najlepsza Pasta do Obuwia  
H. Trembińskiego**„INTRYGANT”**żądać  
wszędzie

Cière I. Podręcznik zapamiętania (walka francuska). Przełożył z francuskiego R. Walczak. Ze 113 rysunkami. —.60
Hancock Irving. Fizyczne wychowanie w Japonii „Dziuitsu”. Przełożył I. Modzelewski. Z 18 rysunkami. —.40
Müller J. P. Mój system, 15 minut dziennie dla zdrowia. Z przedmową tłumacza. Z 44 ryc. i tablicą z rozkładem czasu. Dzieło przełożone na wszystkie niemal języki europejskie, rozeszło się w ciągu jednego roku w 150000 egzemplarzy. Wydanie nowe —.60
Sawicki-Stella Jan Dr. Higiena pańien. Z rysunkami w tekście 60 kop., w oprawie 1.—
Spiridion. Kodeks światowy, czyli znajomość życia we wszelkich stosunkach z ludźmi, na podstawie najlepszych źródeł ułożony. Wyd. nowe 60 k., w opr. —.90
Staffe Baronowa. Piękność i zdrowie, praktyczne rady wskazówki i przepisy dla kobiet. Wydanie nowe. Tłumaczenie z 39 wyd. oryginału francuskiego. 1.—
Zasady higieny, wskazówki popularne pielęgnowania zdrowia. Z oryginału wydanego przez Berliński urząd zdrowia. Wolny przekład dr. I. Świętochowskiego. Z rys. w tekście i 2 ma tabl. litogr. 70 kop. kart. —.80

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

KSIĘGARNIA

**GEBETHNERA i WOLFFA**

w Warszawie

poleca:

**WYBÓR POEZJI**

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich  
Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ

Choroby dróg moczowych. Oświetlenie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5-7 p. ul. NOWOGRODZKA 37

Dr JAN LATINIK

ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael”.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa, Krak.-Przed. 17**LUDWIK SZUFA**  
**KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671**PATENTY**  
NA  
WYNAŁAZKI  
Włodarkiewicz  
i Sieklucki  
Włodzimierska 16,  
Egz. od 1886 r**VENUS** puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecany dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.**AGATOL** proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnilnych.

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

**Piegi** przyszcze, plamy i liszaje usuwa crem **VENUS** idealnie skuteczny środek.**L. Lipiński** { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. }  
{ WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, }

Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875,

**Bracia ŁOPIEŃSCY** POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKÓWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.